

Cartland Barbara

W szponach miłości



OD AUTORKI

Spiskowcy z Cato Street działali dokładnie tak, jak to opisałam. Thistlewood zaplanował zabójstwo całego rządu w czasie przyjęcia wydanego w domu lorda Harrowby'ego przy Grosvenor Square numer 44 w dniu 23 lutego 1820.

Lorda Harrowby'ego ostrzeżono rankiem w dzień, na który zaplanowano zamach. Księżę Wellington poradził premierowi, żeby nie zmieniał ustalonego wcześniej porządku dnia, ale pozostali członkowie gabinetu wcale nie mieli ochoty spotkać się ze spiskowcami. Dlatego też odwołano przyjęcie, nie informując o tym służby lorda Harrowby'ego ani jego francuskiego kucharza.

Jeden ze szpiegów Thistlewooda, obserwujący dom lorda przy Grosvenor Square, widział gości przybywających na przyjęcie do arcybiskupa Yorku. Był przekonany, że to członkowie gabinetu zaproszeni przez lorda Harrowby'ego.

Poinformował zatem swoich współników z Cato Street, że wszystko przebiega zgodnie z planem.

W momencie, kiedy spiskowcy szykowali się do wyjścia, zjawiała się grupa konstabli. Thistlewood zabił ich dowódcę, ktoś w zamieszaniu pogasił świece, rozgorzała straszna walka, podczas której Thistlewood zbiegł.

W tym czasie przybył kapitan Fitzclarence z żołnierzami Goldstream Guards. Spóźnił się, gdyż zabłądził, ale mimo to jego żołnierze zdołali aresztować dziewięciu zbrodniarzy, między innymi rzeźnika Archie Ingsa, Murzyna - szewca i producenta mebli. Thistlewooda schwytano następnego dnia.

Pięciu spiskowców, łącznie z Thistlewoodem i Ingsem skazano na śmierć przez powieszenie, a pozostałych deportowano do Australii.

Wielotysięczny tłum przyglądał się egzekucji przy więzieniu Newgate.

ROZDZIAŁ 1

1820

Markiz Broome tłumiał ziewanie. Dochodził do wniosku, że znosi dzisiaj gorącą, pozbawioną powietrza atmosferę Carlton House o wiele gorzej, niż zazwyczaj. Zastanawiał się, kiedy będzie mógł już wreszcie opuścić to miejsce.

Mimo, że z wielu powodów podziwiał księcia regenta, coraz bardziej nudziły go te nie kończące się, następujące jedno po drugim przyjęcia, które niczym się od siebie nie różniły.

Zmienne było tylko serce regenta. Markizowi wydawało się, że lady Hertford przestawała już go interesować, a jej miejsce, jako królewskiej faworyty, na krótko zajmuje bez wątpienia markiza Conyngham.

Markiz Broome pomyślał sobie, że ta tłusta, starzejąca się kobieta prowadzić będzie zawsze takie same rozmowy i za każdym razem, kiedy otworzy usta, żeby coś powiedzieć, zdradzi swoją głęboką nieznajomość panujących w kraju nastrojów.

Jedyną co sprawiało markizowi przyjemność w Carlton House, to kolekcja obrazów. Księżę regent prawie co tydzień powiększał ją, dodając także nowe meble, posążki i inne dzieła sztuki. W rezultacie jego rezydencja coraz bardziej przypominała muzeum.

Markiz znowu ziewnął szeroko. Lord Hansketh, jeden z przechodzących właśnie jego przyjaciół, zatrzymał się mówiąc:

- Nudzisz się, Ivo, czy jesteś po prostu zmęczony nocnymi wyczynami?

- Nudzę się! - odparł markiz krótko.

- A ja myślałem, że wybrałaś dla siebie coś z tego bukietu pięknych kobiet - ciągnął Henry Hansketh. - Uważam, że moja

„czarodziejka" zbyt dużo mówi. Trajkotanie kobiety nad ranem mężczyźnie wyjątkowo.

Markiz nie odpowiedział. Jego przyjacielowi przypomniało się, że jedną z zasad markiza Broome'a było nigdy nie rozmawiać o kobietach, którymi się interesował, bez względu na to, czy były damami z towarzystwa, czy też „zwykłymi spódniczkami".

- Myślę, że „Prinny" pójdzie się wkrótce położyć - powiedział, chcąc zmienić temat rozmowy. - To niemal błogosławieństwo, że już nie chce mu się przesiadywać tak późno w noc.

- Zgadzasz się z tobą - odparł markiz. - Doskonale pamiętam czasy, kiedy księżę Walii rozwijał skrzydła dopiero wtedy, kiedy na niebie stało wysoko słońce. .

Lord Hansketh, śmiejąc się, powtórzył:

- Rozwijał skrzydła! Muszę to zapamiętać, Ivo. To jeden z twoich najlepszych dowcipów!

- Mogę ci go podarować. - Markiz ziewnął szeroko. - I tak go zresztą gdzieś powtórzysz.

Jego przyjaciel pokazał zęby w uśmiechu.

- A dlaczego? Zawsze jesteś bardziej dowcipny niż ' którykolwiek z nas i dlatego twoje dowcipy to jedyna rzecz, którą możemy ci bezkarnie ukraść.

Markiz już go nie słuchał. Spostrzegł, że księżę regent podaje ramię lady Hertford, co oznaczało, że jest gotów towarzyszyć jej do Salonu Chińskiego.

Obliczył sobie, że przy odrobinie szczęścia opuści Carlton House za dziesięć minut.

- Z kim się umówiłeś, Ivo? - zapytał lord Hansketh, jakby odgadując zamiary markiza. - Jestem ciekaw, kto teraz na ciebie czeka.

- Mógłbyś zachować swoje obrzydliwe insynuacje dla innych - odrzekł markiz. - Tak się akurat składa, że jak tylko stąd wyjdę, jadę do Broome.

- O tej porze? W nocy? - wykrzyknął Henry Hansketh.

Markiz Broome pokiwał twierdząco głową.

- Mam konia, którego chcę wypróbować przed wyścigiem w następną sobotę.

- Który oczywiście chcesz wygrać!

- To zależy od tego, jaki dobry jest ten ogier. Przez chwilę w salonie panowała cisza.

- Oczywiście! - wykrzyknął lord Hansketh. - Wiem, o czym mówisz. Kupiłeś przecież kilka koni na aukcji u biednego D'Arcy'ego. Przypuszczam, że to właśnie jeden z nich.

- Rozumujesz całkiem słusznie - odparł sucho markiz. - Tak się akurat złożyło, że bardzo się zdenerwowałem, kiedy D'Arcy kupił Agamemnona na aukcji w Tattersall, a ja nie mogłem tam wtedy przybyć.

- Agamemnon! - powtórzył Hansketh. - Pamiętam tego konia! Wspaniała bestia! Narobił wiele kłopotu. Trzeba było aż trzech koniuszych, żeby wprowadzić go na ring. Zauważył słaby uśmiech na ustach markiza.

- Powiedzieli mi, że to dzikie zwierzę - powiedział Broome. - Chciałem go odkupić od D'Arcy'ego, ale on uparł się, że go zatrzyma. Chciał wywindować w górę cenę. Nigdy jednak nie miał żadnych szans, żeby opanować tego rumaka.

- A tobie się to oczywiście uda z łatwością! - szydził Henry Hansketh.

- Właśnie to zamierzam zrobić - potwierdził cicho markiz. Mówił z charakterystyczną dla siebie pewnością i wiarą we własne możliwości.

Był bardzo przystojny, wyższy niż inni mężczyźni w tym pokoju. Na jego atletycznym ciele nie było grama zbędnego

tłuszczu. Wszyscy podziwiali markiza Broome'a za jego sportowe sukcesy. Był bardzo popularną postacią, a każde jego pojawienie się na torze wyścigowym wywoływało wrzawę.

Jednocześnie nawet ci, którzy uważali się za jego przyjaciół, twierdzili, że jest to pod wieloma względami bardzo tajemniczy i nieobliczalny człowiek.

Mimo że każda piękna kobieta z chęcią złożyłaby swoje serce u jego stóp, wszyscy wiedzieli, że był bardzo wymagający w stosunku do kobiet, którymi się interesował. Miał opinię niedelikatnego, pozbawionego serca człowieka. Niejedna piękność płakała przez niego.

To nieco dziwne, gdyż markiz gwałtownie przeciwstawiał się wszelkim formom okrucieństwa w sporcie. Był bezwzględny w swoich działaniach mających na celu zakaz walk psów z bykami. Wszyscy mówili, że jest gotów wysmagać biczem każdego, kto źle traktował swego konia. Jednak łzy kobiet nie wzruszały go, żeby nie wiem jak żałośnie czy ujmująco wyglądały, pogrążone w rozpacz.

Zgodnie z wymogami mody markiz opiekował się biednymi. Był to ten „Niezrównany”, ścigany spojrzeniami fircyków i piękności z St. James's Street, których wodził za nos, ku ich zmartwieniu i zazdrości.

- Skoro już mnie o to pytasz - powiedział konfidencjonalnie lord Hansketh do przyjaciela w White's Club - to nie wierzę, żeby Broome w najmniejszym stopniu interesował się kobietami, które żyją w jego domu w Chelsea. Co prawda obsypuje je diamentami, ale chodzi mu tylko o to, żeby rozwścieczyć tych z nas, którzy nie są w stanie z nim rywalizować, bo stawki są już zbyt wysokie.

- Jeśli chcesz mi powiedzieć, że Broome nigdy naprawdę nie chciał Linette, to wpakuję w niego nieco ołowiu - odpowiedział jego rozmówca.

Henry Hansketh zaśmiał się cicho.

- Równie dobrze mógłbyś chcieć polecieć na Księżyc. Czy już zapomniałeś, jak on wspaniale strzela? Nie słyszałem, żeby ktoś z nim kiedykolwiek wygrał.

- Niech go szlag trafi! Dlaczego on zawsze wygrywa? I to zarówno wtedy, kiedy chodzi o konie, jak i o kobiety.

Henry Hansketh znowu się roześmiał.

- Jesteś zazdrosny i to jest twoja wada. Ja bardzo go lubię i dlatego widzę, że on nie jest prawdziwie szczęśliwym człowiekiem.

- Nie jest szczęśliwy? - wykrzyknął zdumiony Charlie z niedowierzaniem. - Oczywiście, że jest szczęśliwy! Jak mógłby być nieszczęśliwy, posiadając takie bogactwo i tyle posiadłości, że już przestałem je liczyć?

- Ciągle jednak uważam, że jemu czegoś w życiu brakuje - upierał się Hansketh.

- Czego? - spytał Charlie ze złością w głosie. Lord Hansketh nie odpowiedział.

Kiedy jechał z White's Club do swojego domu przy Half - Moon Street, pomyślał sobie, że przez te wszystkie lata, kiedy znał markiza, ten nigdy się nie zakochał.

Byli bardzo młodzi, kiedy służyli razem w armii Wellingtona. Już wtedy Ivo, który jeszcze nie odziedziczył po ojcu tytułu i majątku, nie tylko należał do najprzystojniejszych oficerów gwardii, ale był także najdzielniejszym, najbardziej podziwianym żołnierzem o największej fantazji.

Kiedy ich zwolniono ze służby, spędzali bardzo wiele czasu w towarzystwie pięknych kobiet. Nie zwracali wcale uwagi na to, czy są to damy z towarzystwa, czy też kobiety z półświatka. Podczas gdy ich przyjaciele wzdychali do swoich dam, zdobywali i uwodzili kobiety, markizowi wcale nie zależało na ich towarzystwie. Jeśli nawet tęsknił do którejś z nich, to nie wiedzieli o tym jego najbliżsi przyjaciele.

Kobiety oczywiście uwielbiały go. Lord Hansketh, który w zasadzie nie opuszczał markiza, wiedział o niezliczonej liczbie perfumowanych bilecików przysyłanych do jego domu przy Berkeley Square od wczesnego ranka do późnego wieczora. Pozostawało tajemnicą, czy w ogóle je otwierał, czytał i odpowiadał na nie, ale było faktem, że otrzymywał ich całe mnóstwo.

Faktem było również to, że nawet plotki nie potrafiły odkryć niczego, co by sugerowało, że życie miłosne markiza wskazuje na jego chęć zawarcia małżeństwa.

Henry Hansketh zastanawiał się właśnie, czy markiz pojedzie do Broome sam, czy też powinien zaproponować mu swoje towarzystwo. Jeśli było coś, co naprawdę sprawiało mu przyjemność, to jazda wspaniałymi końmi markiza. Byli przyjaciółmi od tak długiego czasu, że zawsze mieli wiele spraw do omówienia. Wspólnie spędzane godziny były przyjemnością i rozrywką.

W tej samej chwili lord Hansketh przypomniał sobie, że obiecał księciu regentowi, że będzie mu towarzyszył w czasie jego porannej wizyty w pałacu Buckingham, w czasie której chciał spytać o zdrowie króla.

Jego Królewska Mość zapadał na zdrowiu z każdym dniem. Miał już osiemdziesiąt dwa lata i wyglądał coraz gorzej.

Ciągłe czekanie niezwykle przygnębiało regenta, dlatego też zazwyczaj prosił kogoś zaufanego, by mu towarzyszył w wypełnianiu tego codziennego obowiązku.,

- Kiedy wrócisz? - spytał lord Hansketh. Markiz obserwował regenta, który wielokrotnie powtarzał ceremonię pożegnania w drugim końcu salonu. Spojrzał teraz na przyjaciela i powiedział:

- Nie wiem. W środę, może w czwartek.

- Gdybyś nie przyjechał do tej pory, to cię odwiedzę - obiecał Henry.

- To na pewno zachęci mnie do pozostania na wsi - stwierdził markiz. - Trudno mi wyobrazić sobie kogokolwiek, kto chciałby zostać w Londynie, kiedy można zażywać rozkoszy polowania.

- Zgadzam się z tobą. Powinniśmy wrócić do tych ciągłych ukłonów i zginania kolan dopiero po zakończeniu sezonu łowieckiego.

- Jedynym ratunkiem są plotki przewidujące, że król lada chwila umrze. „Prinny” obiecuje, że odwoła wtedy swoje przyjęcia i na chwilę zwolni nas z obowiązków towarzyskich.

- Poprawiłeś mi humor - odparł Hansketh. - Nie mogę się jednak oprzeć podejrzeniom, że te uczucia synowskie nie potrwają zbyt długo.

Markiz nic nie odpowiedział, ale jego oczy wyrażały o wiele więcej, niż mógł wyrazić słowami. Henry Hansketh był przekonany, że jemu nie uda się uciec z pałacu Carlton, ale wiedział, że markiz uczyni to niechybnie.

Księżę regent szedł teraz w kierunku drzwi. Wszystkie damy, które mijał, opadały w głębokich, dworskich ukłonach, a panowie skłaniali przed nim głowy.

Tłusty, rumiany na twarzy, a mimo to obdarzony jakimś nieokreślonym czarem i urokiem, którym nikt nie mógł zaprzeczać, księżę wraz z uczeptioną jego ramienia lady - Hertford zniknął w końcu z oczu siedzącym w salonie osobom.

- Teraz mogę już iść! - wykrzyknął markiz. - Może cię podwieźć, Henry?

- Nie, dziękuję ci - odparł jego przyjaciel. - Zanim stąd wyjdę, muszę jeszcze porozmawiać z paroma osobami. Nie zostawaj w Broome dłużej, niż musisz. Zazdroszczę ci jednak

świeżego powietrza i oczywiście emocji związanych z wyścigiem Agamemnona.

Lekki ruch warg markiza powiedział Hanskethowi, że jego przyjaciel z naprawdę wielką niecierpliwością czeka na to wydarzenie.

- Myślę, że najlepiej będzie - odrzekł markiz po krótkiej chwili milczenia - . - jeśli odwiedzisz mnie w czwartek lub nawet w piątek. Możemy tu wrócić dopiero w poniedziałek. Będzie im nas brakować.

- Dobrze, Ivo - zgodził się Henry Hansketh. - Przyrzekłem, co prawda, zjeść obiad z pewną bardzo atrakcyjną damą w piątek wieczorem, ale po prostu ją przeproszę i zjawię się w twojej posiadłości w Broome.

Markiz nie czekał już na odpowiedź swego przyjaciela. Uznał to za rzecz oczywistą, że ten zaakceptuje jego propozycję. Wychodził teraz szybkim krokiem z Salonu Chińskiego, zręcznie unikając spotkania z księżną de Lieven, żoną ambasadora Rosji. Księżną słynęła z ciętego dowcipu i od pewnego czasu także bez skutku starała się go zdobyć.

Markiz pospiesznie zbiegł pięknymi, podwójnymi schodami, które na początku, gdy dom był postawiony, wszystkich zachwyciły, do wspaniałego holu ozdobionego kolumnami jońskimi z brązowego marmuru, sprowadzonego ze Sieny.

Lokaj zarzucił mu na plecy obszytą futrem pelerynę. Kiedy markiz wyszedł przez frontowe drzwi ozdobione wielkim, korynckim portykiem, pojawił się następny lokaj i zawołał głośno:

- Powóz szlchetnego markiza Broome'a!

Markiz wcześniej już poinstruował swoją służbę, że wyjedzie stąd jak najszybciej. Kiedy czekał przez parę sekund na swój pojazd, wszyscy utkwili oczy w szóstce doskonale dobranych i utrzymanych karych ogierów.

Markiz całkiem niedawno kupił tę karecię. Była tak lekka i tak doskonale skonstruowana, że zdawało się, iż jej pomalowane na żółto koła prawie nie dotykają ziemi.

Markiz wsiadł do karety, a lokaj owinął jego kolana sobolowym futrem, po czym zamknął drzwi ozdobione jego herbem i wskoczył na stopień z tyłu powozu w chwili, kiedy ten już ruszał z miejsca. Służba doskonale wiedziała, że markiz nie znosi tracić czasu podczas długich podróży.

Wymagał od swoich stangretów, by jeździli z takim kunsztem, z jakim on sam powoził, i żądał, by jeździli bardzo szybko. Ta prędkość paraliżowała jadących z nim jego gości, którzy zazwyczaj siedzieli skuleni i zastanawiali się, czy w ogóle dojadą żywi do celu;

Markiz nigdy nie miał takich myśli, trapiących często ludzi, którzy sami doskonale powozili. Całkowicie ufał swoim stangretom służącym u niego od wielu lat.

Kiedy powóz opuścił aleję Pall Mall, wjechał w St James's Street i plac Piccadilly, markiz oparł się wygodnie o doskonale wyściełane siedzenie, podniósł odziane w jedwabne pończochy nogi i położył stopy na siedzeniu.

Siedzenia były rzeczywiście imponujące, gdyż służyły także jako specjalny sejf na przechowywanie kosztowności w czasie długich podróży. Zbójcy, jeśli nawet starczyło im odwagi, żeby zatrzymać powóz, nie mieli pojęcia o istnieniu tego schowka. Markiz sam go zaprojektował w taki sposób, by mógł pomieścić wszystkie kosztowności i drogie przedmioty, które mógłby kiedykolwiek chcieć z sobą zabrać w drogę. Jednocześnie schowki służyły jako komfortowe siedzenia dla markiza i jego gości.

Teraz markiz myślał nie tyle o swoim powozie, ile o czekających go nazajutrz przyjemnościach. Jutro po raz pierwszy dosiądzie Agamemnona. Z niepokojem wyczekiwał swej walki z koniem. Wiedział doskonale, że będzie musiał

użyć wszystkich swych zdolności jeździeckich, by nad nim zapanować.

Jednocześnie, jak to łatwo odgadł lord Hansketh, był nieco zmęczony. Markiz niełatwo się męczył, tym razem jednak zarówno w ostatnią noc, jak i kilka poprzednich bardzo późno kładł się spać. Niemniej jednak, żeby nie wiem jak późno markiz szedł spać, zawsze, kiedy był w Londynie, odbywał bardzo wczesne przejażdżki konne w parku. Zjawiał się wystarczająco wcześnie, żeby uniknąć towarzystwa innych jeźdźców. Mógł wtedy ćwiczyć do woli.

Dzisiaj rano, tuż po śniadaniu, pojechał do Wimbledonu obejrzeć walkę bokserką. Stawiał na jednego z bokserów i zgodnie z jego oczekiwaniami właśnie ten zawodnik wygrał walkę.

Potem zjadł lunch z premierem i jednym z członków gabinetu. Dyskutowali tematy szczególnie interesujące markiza, a więc przemoc, zachowania rewolucyjne i poważne zagrożenia porządku społecznego, które cechowały rok 1815. Właśnie w tym roku zamieszki mogły się powtórzyć.

Wielu bardziej optymistycznie nastawianych mężów stanu uważało jego przewidywania za zbyt pesymistyczne. Jeden lord Sidmouth poparł markiza mówiąc, że na północy zbierają się chmury i wkrótce może dojść do wybuchu. Powiedział też lordowi kanclerzowi, lordowi Eltonowi, że chciałby wierzyć w skuteczność środków, tak prawnych, jak i siłowych, dla zdławienia ducha rewolucji.

Bardzo niewielu przyjaciół markiza, z wyjątkiem lorda Hansketha, domyślało się, że jego opinii i sądów wysłuchiowano w czasie takich prywatnych spotkań z wielkim zainteresowaniem.

- Coś trzeba zrobić, i to bardzo szybko! - powiedział do siebie markiz. - Inaczej czekają nas wielkie kłopoty. Zbyt długo zwlekamy z reformami.

Zaczął się zastanawiać, co by zrobił, gdyby był premierem.

W tym czasie powóz wyjechał z przedmieść za miasto. Jechali teraz z wielką szybkością suchymi, pokrytymi kurzem drogami. Od dłuższego czasu nie spadła ani kropla deszczu. W nocy przychodził jedynie lekki mróz.

Kiedy markiz planował tę podróż, wiedział, że będzie pełnia księżyca i że stangret nie będzie musiał oświetlać sobie drogi latarnią. Widział teraz wszystko wyraźnie w świetle księżyca i zawieszonych na firmamencie gwiazd.

Jazda do domu, położonego na wzgórzach Surrey, zajmie markizowi nieco mniej niż dwie godziny.

Zapadał już w sen, kiedy coś go zaniepokoiło. Nie był to żaden podejrzany ruch powozu, ale czegoś nie mógł zrozumieć. Czuł, że coś unosi w górę jego stopy spoczywające na siedzeniu. Przyszło mu do głowy, że być może sejf powozu nie był dokładnie zamknięty. Zdenerwował się, gdyż lubił, żeby zawsze otaczała go doskonałość.

Rozzłoszczony opuścił nogi na podłogę, odsunął okrywające go sobolowe futro i pochylił się, by sprawdzić, czy czasem zamek nie jest otwarty. Ku jego zdziwieniu pokrywa siedzenia uniosła się jeszcze wyżej i w dochodzącym przez okno powozu świetle księżyca dostrzegł, że pokrywę unosi ktoś siedzący w środku.

- Co, u diabła...? - zaczął urywanym głosem.

Nagle zdecydował się na działanie. Włożył rękę pod wyłożoną poduszkami pokrywę, żeby ująć stalowym uściskiem palców to, co mogło znajdować się w środku.

Rozległ się okrzyk bólu. Markiz poczuł coś ciepłego i miękkiego i wyciągnął to na zewnątrz. Zdumiony i zaskoczony spostrzegł, że trzyma chłopca, który upadł na podłogę i zawołał oskarżającym głosem:

- To... boli!

- Kim jesteś i co tutaj robisz? - spytał zdecydowanym głosem markiz.

- Schowałem się tutaj.

Chłopiec siedział na podłodze i rozcierał szyję dłońmi. Broome dostrzegł, że jego głowę pokrywają jasne loki.

Był bardzo drobny i to wyjaśniało, dlaczego zdołał schować się w skrytce w powozie.

- Wydaje mi się, że próbowałeś mnie okraść - powiedział ostro markiz - ale na twoje nieszczęście wyjechałem tak wcześnie, że nie zdołałeś uciec.

Chłopiec nic nie odpowiedział. Rozcierał sobie nadal obolałą szyję. Po chwili markiz zapytał ponownie:

- Powiedz mi, skąd wiedziałeś, że jest tutaj jakaś skrytka pod siedzeniem, i w jaki sposób udało ci się ją otworzyć. Przecież ona musiała być zamknięta.

Kiedy chłopiec podniósł na niego wzrok, markiz ujrzał, że ma małą twarz, owalne czoło i wystającą brodę. Wydawało mu się też, że ma bardzo duże oczy.

- Czekam na odpowiedź - markiz przerwał panującą w powozie ciszę. - I radzę ci, żebyś powiedział mi prawdę, zanim oddam cię w ręce moich służących. Ukarzę cię przykładowo, tak jak na to zasługujesz.

- Niczego panu nie ukradłem - odparł chłopiec. - Mówiłem już, że się tu ukrywam.

- Przed kim się ukrywasz i dlaczego w moim powozie?

- Bo jest zaprzężony w sześć koni.

Markiz nagle zdał sobie sprawę, że chłopiec mówi niezwykle kulturalnym i muzykalnym głosem. Zaskoczyło go również to, że wcale się nie przestraszył. Siedział spokojnie na podłodze z podwiniętymi nogami.

Zauważył również, że miał na sobie krótki żakiet, taki sam, jak nosił markiz, kiedy uczęszczał do Eton. Zamiast

jednak tradycyjnego, białego kołnierzyka nosił ciemny, jedwabny szalik zawiązany w kokardkę.

- Myślę, że masz coś na usprawiedliwienie swojego postępowania - rzekł markiz. - Wydaje mi się, że mam prawo to usłyszeć.

- Nie zrobiłem nic złego - odparł chłopiec - oprócz tego, że nie poprosiłem pana o pozwolenie. Skoro już jednak wyjechaliśmy z Londynu, to zaraz zniknę i nie będę więcej sprawiał panu kłopotu.

Chłopiec przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej:

- Przy odrobinie szczęścia mógłby mnie pan nigdy nie zauważyć. Zdrętwiałem i tak bardzo brakowało mi powietrza, że nie mogłem już tego wytrzymać. Bałem się, że mogę się udusić.

- Dobrze by ci to, zrobiło - burknął ponuro markiz - ale w dalszym ciągu chcę wiedzieć, w jaki sposób dostałeś się do mojego powozu i skąd wiedziałeś o moim schowku.

Malec uśmiechnął się.

- Tak się akurat składa, że mój wuj ma dokładnie takie samo zabezpieczenie przed rozbójnikami w powozie, który właśnie kupił.

Markiz cały zeszywniał.

- Nie wierzę ci! To mój własny wynalazek, a rzemieślnik, który zbudował dla mnie ten powóz, zapewnił mnie, że nie będzie nigdy więcej budował podobnych pojazdów.

Chłopiec roześmiał się, a markizowi zdawało się, że słyszy w jego śmiechu szyderstwo.

- Jest pan bardzo łatwowierny! Są ludzie, którzy za pieniądze sprzedadzą największe tajemnice Tower w Londynie!

- Do diabła! Nigdy już nie złożę w tej firmie żadnego zamówienia! - wykrzyknął markiz.

- Prawdę mówiąc, nie była to firma, ale jeden z jej pracowników, którego wyrzucili za to, że brał łapówki.

Markiz zacisnął mocno usta.

- Stwierdzam, że to, co mówisz, jest równie okropne jak fakt, że się tutaj znajdujesz. Kim jesteś? Jak ci na imię?

- Nie muszę odpowiadać na te pytania - rzucił chłopiec z zaskakującą godnością. - Proszę tylko, żeby pan wysadził mnie w jakimkolwiek mieście, przez które będziemy przejeżdżać. I niech pan potem o mnie zapomni.

- To bardzo dziwna prośba. - Markiz zamyślił się. - Chciałbym wiedzieć o tobie trochę więcej, zanim zgodzę się zrobić to, o co mnie prosisz.

- Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałby się pan mną interesować - odparł chłopiec. - Jak już powiedziałem, nie wiedziałby pan nic o moim istnieniu, gdyby nie było mi duszno. Myślałem, że zemdleję.

- Teraz nie zemdlejesz - rzekł Broome. - Proszę, siadaj naprzeciw mnie, tak, żebym mógł ci się przyglądać, i powiedz mi o sobie prawdę.

- Wiem, że mi pan nie uwierzy. Zapewniam jednak Waszą Lordowską Mość, że będzie dla pana lepiej, żeby nic pan o mnie nie wiedział. Niech się pan nawet nie domyśla, dlaczego skorzystałem na tak krótko z pańskiej gościnności.

Sposób, w jaki chłopiec przemawiał, sprawił, że markiz rozciągnął usta w lekkim uśmiechu.

- Przypuszczam, że uciekasz właśnie ze szkoły! Pozwól, że ci powiem, iż jest to bardzo nieroztropne. Poza tym może to się okazać niebezpieczne.

- To moja sprawa!

Mówiąc to chłopiec poruszył się, zmieniając pozycję, w jakiej siedział od chwili, kiedy markiz wyciągnął go z kryjówki. Rozcierał teraz obolałą nogę. Usiadł na siedzeniu tak, jak kazał mu markiz, i cały czas rozcierał nogę.

- Jeśli nawet cię coś boli - odezwał się lodowatym głosem markiz - to nie możesz nikogo za to winić.

- Wiem, ale mam teraz wrażenie, jakby chodziły po mnie mrówki. Krew zaczyna znowu krążyć w nodze. To bardzo nieprzyjemne.

Podniósł nogę i postawił stopę na siedzeniu. Podwinął nogawki od spodni, żeby łatwiej mu było rozcierać nogę w kostce,.

- To boli! Tak mi zdrętwiała, że wcale jej nie czułem.

- Nie spodziewaj się, że będę ci współczuł - odezwał się markiz. - Im prędzej wrócisz do domu, tym, lepiej.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - mruknął chłopiec, - I nic ani nikt na świecie mnie do tego nie zmusi!

Markiz nie widział dokładnie twarzy chłopca, mimo iż do powozu wpadało światło księżyca. Słyszał jednak, że chłopiec nie przechodził jeszcze mutacji, był niewysoki i miał bardzo delikatne dłonie. Musiał być bardzo mały.

- A teraz posłuchaj, co powiem - odezwał się markiz. - Wszyscy chłopcy w twoim wieku uciekają z domu i ze szkoły. Nie masz jednak najmniejszego pojęcia o tym, jakie trudności czekają cię w świecie istniejącym poza twoim domem rodzinnym. Wracaj i nie bądź głupi.

- Nie! - odparł hardo chłopiec.

- A jak ci się wydaje, jak długo możesz przeżyć bez pieniędzy?

- Mam ze sobą całkiem dużo pieniędzy.

- I na pewno ukradnie ci je pierwszy napotkany włóczęga. Będiesz miał szczęście, jeśli cię przy tym nie obije.

- Próbuje mnie pan przestraszyć, ale nic nie przestraszy mnie tak, jak to, co zmusiło mnie do ucieczki.

- A może powiesz mi, co to takiego? - spytał markiz.

- Nie uwierzy mi pan.

- Skąd możesz być tego taki pewien? Słyszałem już w swoim życiu bardzo dużo dziwnych historii. Jeśli wydają się one prawdopodobne, to zawsze staram się pomóc.

- Czy teraz też zechce mi pan pomóc?

- Tak. Zapadła cisza. Po chwili chłopiec opuścił nogę na podłogę i powiedział:

- W pewnym sensie chcę panu zaufać... ale boję się... że to nie będzie dobre rozwiązanie...

- Dla mnie czy dla ciebie? - dopytywał się markiz z uśmiechem.

- Dla nas obu. Zapewniam pana, że jeśli pan się mną zajmie, to będzie pan tego żałował. I dlatego, jak tylko powóz się zatrzyma, wysiądę i nigdy więcej już mnie pan nie zobaczy.

- Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo bym się wściekał, gdybym nie wiedział, kim jesteś i co się z tobą stało - odrzekł markiz. - A więc, mój mały przyjacielu, musisz zapłacić za tę podróż wyjawieniem swojej historii, bez względu na to, czy jest prawdziwa, czy zmyślona.

- Chce pan, bym się zamienił w Szeherazadę - uśmiechnął się chłopiec. - Szeherazada była kobietą!

Zapadła cisza, którą przerwał markiz.

- Wydaje mi się, o ile się nie mylę, że znalazłem już odpowiedź na pierwszą zagadkę!

Przez chwilę wydawało mu się, że mała postać siedząca naprzeciw niego chce temu zaprzeczyć.

- Czy to takie oczywiste? Myślałam, że jeśli obetnę sobie włosy, to nikt nie domyśli się, że nie jestem chłopcem.

- Gdybym zobaczył cię za dnia, poznałbym cię szybciej - powiedział markiz. - Głos chłopca, nawet w tym wieku, na jaki wyglądasz, powinien być nieco niższy i bardziej szorstki.

- Czy uważa pan, że jeszcze ktoś mnie rozpozna?

- Jestem o tym przekonany.

- Nie wierzę panu!

- Myślę, że nie powinnaś tego sprawdzać - rzucił krótko markiz.

- A więc zniszczył pan wszystko! - odezwała się po chwili dziewczyna. - Byłam przekonana, że wydostanę się stąd, że nikt mnie nie rozpozna i że dojadę do Francji.

- Do Francji? - zdziwił się markiz. - Czy tam chcesz jechać?

Skinęła potakująco głową.

- Mam w Paryżu przyjaciółkę. Jest Francuzką. Uważam, że gdyby udało mi się tam dojechać, ona by mnie ukryła i nikt nigdy już by mnie nie znalazł, żeby nie wiem jak mnie szukał.

- I naprawdę wydaje ci się, że możesz tak podróżować sobie aż do Francji? To nie tylko niemożliwe, ale bardzo głupie!

Markiz dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie rozmawia z chłopcem, tylko z dziewczyną. Zauważył też, że ta dziewczyna jest bardzo atrakcyjna.

Pomyślał sobie, iż powinien domyślić się wcześniej, że taki łagodny głos mógł należeć tylko do istoty rodzaju żeńskiego.

- Teraz już musi mi pan pomóc - postanowiła dziewczyna. - Czy znajdzie pan kuriera, który odwiózłby mnie do Paryża? Zapłacę mu.

- Ile masz pieniędzy? - spytał markiz.

- Dwadzieścia funtów w banknotach i w monetach - odparła. - I jeszcze to...

Dziewczyna wyjęła z kieszeni spodni dwa małe, błyszczące w świetle księżycy przedmioty. Markiz spostrzegł, że jeden z nich to duża, wysadzana diamentami brosza w kształcie półksiężycy, a drugi to bransoleta zdobiona tymi samymi kamieniami. Oba przedmioty były niewątpliwie wielkiej wartości.

- Mogę je sprzedać - powiedziała dziewczyna - i żyć w luksusie. I to chyba przez bardzo długi czas.

- A komu je sprzedasz - zdziwił się markiz - nawet gdyby udało ci się przedostać przez kanał La Manche?

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale markiz doskonale wiedział, że bardzo uważnie słucha jego słów.

- Każdy jubiler, widząc ciebie w takim ubraniu, oszuka cię, nawet wtedy, kiedy twoja przyjaciółka przyjmie cię do siebie. Ponadto wydaje mi się, że twoi rodzice będą cię szukać i wcześniej czy później odnajdą cię. Poza tym musisz wiedzieć, że za te pieniądze, które posiadasz, nie zajdziesz we Francji daleko.

- Specjalnie mówi pan o trudnościach, żeby mnie przestraszyć - zarzuciła dziewczyna markizowi.

- Lepiej, żebyś była ze mną szczerą. Zacznijmy od samego początku. Jak ci na imię?

- Cara.

- To wszystko?

- Nie, mam jeszcze nazwisko, ale nie zamierzam go panu wyjawiać.

- Dlaczego?

- Na to pytanie także nie mogę odpowiedzieć.

- Musisz zrozumieć, że nie mogę ci pomóc, jeśli niczego nie chcesz mi powiedzieć.

- Jedyne, czego od pana oczekuję, to pomoc w dostaniu się do Francji. Nie jest to zbyt wielka prośba, prawda?

- Jest pewien problem - zauważył markiz. - Po pierwsze, ukryłaś się w moim powozie, w miejscu, o którym myślałem, że jest niedostępne dla nikogo. Po drugie, udawałaś, że jesteś chłopcem, a po trzecie nie chcesz powiedzieć, jak się nazywasz. Czego się więc po mnie spodziewasz? Powinnaś wiedzieć, że być może oddam cię urzędnikom miejskim, aby się tobą zajęli w sposób, jaki uznają za najlepszy.

Dziewczyna krzyknęła:

- Pan mnie przeraża! Wie pan dobrze, że nie może pan tego zrobić.

- Nie bądź tego taka pewna.

- Jestem pewna, mimo że ma pan opinię człowieka bezwzględnego, pozbawionego serca.

Markiz zdumiał się niezmiernie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wszyscy tak mówią o markizie Broome.

- Cóż, jeśli tak mówią. Powinniśmy teraz porozmawiać o tobie. Powiedz mi, jak się nazywasz.

- Odmawiam, zdecydowanie odmawiam!

- Dlaczego?

- Ponieważ jeśli to zrobię, to pan mi nie pomoże. Markiz przyglądał się dziewczynie zaskoczony.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, jak się nazywasz. Przecież pomogłem już wielu osobom, które znalazły się w tarapatach.

- Ludzie mówią o panu całkiem inaczej.

Przez chwilę panowała cisza.

- Nie mam zamiaru zrobić ci tej przyjemności i rozmawiać z tobą o sobie. Próbuję cały czas porozmawiać o tobie.

- Wiem, ale ja nie mam na to ochoty. O wiele łatwiej jest rozmawiać o panu. Inni mężczyźni bardzo panu zazdroszczą. Myślę, że dobrze pan o tym wie.

Markiz roześmiał się głośno.

- Nie chce mi się wierzyć, że istniejesz naprawdę - powiedział. - To wszystko jest chyba snem. I tak całkiem przypadkiem nosisz taki zakiet, jak uczniowie Eton?

- Należy do mojego kuzyna. On już z niego wyrósł - wyjaśniła Cara. - Ściągnęłam go ze strychu i schowałam głęboko w szafie. Przygotowywałam się do ucieczki.

- A więc planowałaś tę ucieczkę?
- Ponad tydzień. Próbowałam wymyślić inny sposób, ale jedynie ten był możliwy do wykonania.

- Ściąłaś włosy, przebrałaś się za chłopca i schowałaś w moim powozie. A skąd wiedziałaś, że to mój powóz?

- Widziałam na drzwiach pański herb, ale prawdę mówiąc, wcale nie wybrałam tego powozu dlatego, że jest on pana własnością.

- Jaka więc była przyczyna?

- Wybrałam go, bo był zaprzężony w sześć koni, i wiedziałam, że wyjeżdża dzisiaj z Londynu. A o to mi przecież chodziło.

To wyjaśnienie było takie proste i przekonujące, że markiz uśmiechnął się.

- A więc wybrałabyś którykolwiek pojazd, byleby sprawiał wrażenie, że wyrusza w długą drogę?

- Tak, ale cieszę się, że to pański powóz.

- Dlaczego?

- Bo co by o panu nie mówili, jest pan dżentelmenem. I właśnie dlatego, jak rozumiem, nie przekaże mnie pan urzędnikom magistratu. I chociaż straszy pan opowieściami o rozbójnikach, nie zostawi mnie pan bez pomocy.

Markiz musiał przyznać, że było to bardzo inteligentne rozumowanie.

- Wszystko się zgadza, ale muszę przecież coś z tobą zrobić.

- Powiedziałaś przecież, co może pan zrobić.

- Czy powiesz mi, jak się nazywa twoja przyjaciółka we Francji?

- Nie!

- Ale dlaczego?

- Ponieważ później mogą pana zmusić do wyjawienia tej tajemnicy komuś, kto bez wątpienia będzie mnie ścigał.

- Czy uważasz, że będą mnie przesłuchiwać?

- Wątpię, ale nikt tego nie wie. Będzie wielki krzyk i zamęt. Byłoby lepiej, gdyby nie angażował się pan za bardzo w tę sprawę.

- Myślę, że już się za bardzo w to wszystko zaangażowałem - mruknął markiz. - I jeśli powstanie wielki krzyk i zamęt, jak mówisz, to czy mam udawać, że nigdy cię nie widziałem i że nigdy ze mną nie podróżowałaś?

- A jak mógł pan pomyśleć sobie, żeby pomagać wrogom?

- To nie są moi wrogowie, tylko twoi. Cara roześmiała się, słysząc te słowa.

- A więc tak pan uważa?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zdziwił się Broome.

- Nic, ale niewiele osób ma tylu wrogów, co pan. Oczywiście zazdroszczą panu pańskiego majątku i osobistych sukcesów, zwłaszcza tych związanych z pięknymi kobietami.

Markiz wyprostował się.

- Jak śmiesz w ten sposób mówić! - wykrzyknął. - Myliłem się sądząc, że jesteś dobrze wychowana.

Cara znowu się roześmiała. Wcale się nie zawstydzila.

- To, co pan teraz powiedział, oznacza, że nie lubi pan prawdy. Gdybym miała na sobie suknię balową i wdzięczyła się za wachlarzem, przypochebiała się panu tak, jak by się pan tego spodziewał, to byłby pan zadowolony. Ale ponieważ udaję, że jestem chłopcem, mogę mówić to, co myślę.

- Gdybym miał cię traktować tak, jak się traktuje chłopców, sprawiłbym ci potężne lanie - rzekł markiz ponuro.

- Zawsze uważałam, że brutalna siła to ostatnia deska ratunku dla idiotów! - odcięła się Cara.

Przez chwilę markiz Broome wpatrywał się w dziewczynę. Potem oparł się wygodnie o oparcie siedzenia.

- Jesteś niepoprawna. Nikt jeszcze nigdy nie mówił do mnie w ten sposób.

- A więc niech to będzie dla pana zbawienne doświadczenie - odparła Cara. - Nie zobaczy mnie pan więcej, ale być może zapamięta pan to, co panu powiedziałam. Mam nadzieję, że będzie pan zdawał sobie sprawę, że istnieją ludzie, którzy są gotowi wbić panu nóż w plecy. Nigdy by ich pan o to nie podejrzewał.

Markiz zaśmiał się z przymusem.

- Jeśli tak się stanie, to bez wątpienia zapamiętam sobie, że ostrzegłaś mnie zbyt późno.

- To będzie pana wina, gdyż już teraz pana ostrzegam - zauważyła Cara.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy markiz na Agamemnonie dojechał do końca parku, zarówno wierzchowcowi, jak i jeźdźcowi brakło tchu.

Agamemnon zaczynał rozumieć, że nareszcie spotkał swego pana, i chociaż próbował wszystkich swoich sztuczek, żeby zrzucić markiza na ziemię, ten ciągle siedział pewnie w siodle.

Zarówno człowiek, jak i zwierzę nauczyli się szanować swego przeciwnika prawie natychmiast, gdy markiz wyprowadził konia ze stajni. Teraz Agamemnon poruszał się z godnością, żeby pokazać, że w dalszym ciągu jest konsekwentny i dumny, ale właśnie o to markizowi chodziło.

Broome myślał z satysfakcją o tym, że posiada konia, który jest w końcu jego wart. Wiedział, że czekają go jeszcze niezliczone przyjemności walki z tym zwierzęciem. Każdy z przeciwników odczuwał dla swego partnera coraz większy szacunek.

Na końcu parku był kawałek trawnika. Markiz zobaczył tam kilka swoich galopujących koni. Dosiadali ich chłopcy stajenni. Wszyscy konkurowali ze sobą.

Obserwował ich przez parę minut, po czym podjechał do trenera, trzymającego w dłoni zegarek. Markiz nie odzywał się, dopóki trener nie spojrzał na niego i nie skończył swoich obliczeń.

- I co, Johnson, jaki werdykt? - spytał.

Ted Johnson, który pracował dla markiza od sześciu lat i którego uznawano za najbardziej doświadczonego trenera, uśmiechnął się.

- Nasz Łowca Much, milordzie, wygra pierwszy wyścig, w którym pan go wystawi.

- Jesteś tego pewny?

- Tak, milordzie.

- A co powiesz o Czerwonym Rollo?

- Jeśli damy obu koniom równe warunki, to na pewno go pobijemy - odparł Johnson z satysfakcją.

Markiz przyglądał się kłusującym w jego kierunku rumakom. Kończyły właśnie swoje pierwsze próbne galopy. Wszystkie konie to rumaki pełnej krwi. Jeden z nich był absolutnie wyjątkowy i to właśnie w niego wpatrywał się markiz. To Łowca Much.

Markiz wystawił go dopiero jeden raz w publicznej gonitwie, po czym wycofał go i ukrywał przed oczami rywali. Wiedział doskonale, że posiadał to, czego wszyscy mu zazdrościli: konia, którego nie pokona w wyścigu żaden równolatek.

Poprzedniego roku markiz był przekonany, że wygra derby wystawiając konia, któremu przepowiadano zwycięstwo już na początku sezonu. I wtedy, prawie w ostatniej chwili, pojawił się rywal - koń hrabiego Matlocka, Zielony Smok.

Oczywiście, markiz jako wielki dżentelmen i sportowiec zaakceptowałby porażkę swego wierzchowca, gdyby nie wydawał mu się podejrzany sposób, w jaki hrabia prowadził swego konia. Dżokej markiza twierdził, że popychano go i przeszkadzano niezgodnie z przepisami.

Markiz jednak doskonale wiedział, że skargi na hrabiego nie mają najmniejszego sensu. Nie lubił go i miał już z nim do tej pory parę sprzeczek dotyczących różnych klasycznych wyścigów, w których obaj brali udział. Była to rywalizacja osobista. Innymi słowy, markiz pogardzał hrabią, a on nie znosił markiza.

Mimo iż nie mógł tego udowodnić, markiz był przekonany, że hrabia dał swojemu dżokejowi instrukcję, by zrobił wszystko, aby koń markiza nie wygrał. .

Markiz wiedział, że jego koń jest doskonały, i dlatego zabrał go ze stajni w Epsom i sprowadził, jak i parę innych swoich koni, do stajni w Broome. Chciał ukryć je przed

oczami rywali z wyścigów. Postanowił wystawić Łowcę Much w ostatniej chwili. Tak samo zrobił hrabia w zeszłym roku z Zielonym Smokiem.

Nie ulegało wątpliwości, że Czerwony Rollo należał do wybitnych koni. Prawdę mówiąc, tylko on mógł poważnie zagrozić stajni markiza. Ponieważ markiz jak do tej pory nie angażował swego konia, a Czerwony Rollo biegał już parę razy, to jego szanse znacznie zmalały.

- Jesteś zadowolony, Johnson? - spytał markiz. - On naprawdę świetnie wygląda.

Gdy to mówił, przez cały czas obserwował kłusującego w pobliżu konia. Poznał z uśmiechu dosiadającego go jeźdźca, że koń spełnia wszystkie jego oczekiwania.

Koni dosiadali chłopcy stajenni, ale na grzbiecie Łowcy Much siedział Bateson, znakomity i doświadczony dżokej. Podjechał teraz do markiza.

- Dzień dobry, milordzie.

- Dzień dobry, Bateson - odparł markiz. - Jak oceniasz tego konia?

- Nie musi pan nawet o to pytać - odparł dżokej. - Łowca Much to najwspanialszy koń, na jakim miałem przyjemność kiedykolwiek jeździć!

- Wiem, że w twoich ustach to najlepsza pochwała, Bateson.

- Niech go pan nikomu nie pokazuje, milordzie, bo inaczej wszyscy będą na niego stawiali.

Markiz uśmiechnął się. Nigdy nie stawiał na własne konie. Jemu chodziło tylko o satysfakcję ze zwycięstwa. Nie lubił takich właścicieli koni, których interesowało tylko to, ile pieniędzy zarobi dla nich ich wierzchowiec.

Bateson odjechał i dołączył do innych koni wracających do stajni. Markiz zawrócił Agamemnona i zrównał się z Johnsonem.

- Kiedy pokonamy hrabiego, sprawi mi to wielką satysfakcję, zwłaszcza po tym, jak nas potraktował w zeszłym roku.

Markiz nic nie odpowiedział, a Johnson ciągnął dalej:

- Nie wiedziałem, milordzie, że Harwood, który dosiadał naszego konia, miał na plecach dwie pręgi od uderzenia pejczem. To robota dżokeja hrabiego.

Markiz wbił w niego wzrok.

- Czy chcesz powiedzieć, że on celowo uderzył Harwooda biczem?

- Tak, milordzie - potwierdził Johnson. - Ale Harwood to spokojny człowiek i nie chciał oskarżać hrabiego. To zresztą byłoby niezmiernie trudne w obecności głównych sędziów wyścigów.

- Nigdy jeszcze nie słyszałem czegoś równie odrażającego! - wykrzyknął markiz. - Gdybyś mi o tym wcześniej powiedział... - Markiz zatrzymał konia. - Nie, Johnson. Myślę, że Harwood miał rację. To bardzo trudna sprawa udowodnić coś, co zdarzyło się podczas wyścigu, ale obaj wiemy, że Harwood to uczciwy człowiek i na pewno by nie skłamał.

- Ma pan rację, milordzie! I właśnie dlatego Harwood o niczym nie powiedział. Wyznał mi niedawno w zaufaniu, że nie chce - nawet jeśli Wasza Lordowska Mość mu to poleci - brać udziału w tegorocznych wyścigach.

- Dlaczego? - spytał ostro markiz.

- Ponieważ słyszał ostatnio jakieś nieprzyjemne historie o dżokejach, którzy pokonali hrabiego. Mieli dziwne wypadki w nocy, a jeden z nich ledwo ocalał, kiedy ktoś wrzucił go do rowu.

Markiz patrzył na Johnsona pełnym zdumienia wzrokiem.

- Czy to prawda, Johnson?

- Harwood tak powiedział, milordzie, a wiemy przecież, że to pobożny człowiek, znany ze swojej skromności. Nigdy nie rzucał słów na wiatr.

- To prawda - zgodził się markiz. - Ale nie chce mi się wierzyć, żeby hrabia Matlock upadł tak nisko, by pogwałcić wszystkie zasady torów wyścigowych.

- Słyszałem, milordzie - rzekł po chwili Johnson - ale to tylko plotki krążące wśród ludzi związanych z wyścigiem, że hrabia wpadł w tarapaty i nie może spłacić swoich długów.

Markiz pokiwał głową. Spodziewał się tego. Wiedział jednak, że popełniłby błąd, plotkując zbyt długo z jednym ze swoich pracowników, więc spiął Agamemnona ostrogą. Koń zrobił się bardzo niespokojny. Po kilku krokach dalsza rozmowa okazała się niemożliwa, więc markiz ruszył przodem. Nie skierował się jednak w stronę domu, ale puścił Agamemnona galopem. I koń, i jego pan bardzo to lubili.

Przez godzinę jeździł po polach w zachodniej części parku i dopiero wtedy ruszył wolnym krokiem do domu. Przez cały czas markiz rozmyślał o Matlocku, który był jego przysięgłym wrogiem.

Zastanawiał się, w jaki sposób zapobiec skandalowi, który mógł zaszkodzić całemu światu wyścigów konnych. Wszyscy członkowie klubu, do którego on sam należał, zawsze chcieli unikać takich nieprzyjemnych sytuacji.

Jechał właśnie przez most spinający brzegi jeziora, kiedy przypomniał sobie, że ma jeszcze jeden kłopot - Carę.

Rozluźnił zaciśnięte mocno na samą myśl o Matlocku usta, przypominając sobie to niespodziewane spotkanie. W drodze do domu rozbawiony przypomniał sobie, jak nie chciała wyjawić mu swego nazwiska i pozostałych szczegółów.

Siedziała naprzeciw niego, odmawiając odpowiedzi na jego pytania, walczyła z nim w sposób, który uznał za wyjątkowo oryginalny, ale i impertynencki. Powiedziała też:

- Nie mam płaszcza i jest mi bardzo zimno. Myślę, że nie będzie miał pan nic przeciwko temu, bym przykryła się pańskim futrem. Poza tym będzie mi o wiele wygodniej, jeśli usiądę obok pana.

Nie czekała na jego zgodę, tylko przeniosła się na siedzenie markiza i przykryła się aż pod brodę sobolowym futrem. Wstrząsały nią dreszcze.

- Chociaż nie mam zamiaru się panu narzucać, myślę jednak, że skoro ma pan mi pomóc w podróży do Francji, to pożyczę sobie od pana jakiś płaszcz. Inaczej umrę z zimna w czasie podróży.

- Jeśli się tak stanie, będzie to tylko twoja wina - niesympatycznie odezwał się markiz. - Musiałś chyba zauważyć, że nie jest to najlepsza pora roku na dalekie podróże.

- Oczywiście, że wiedziałam - odparła Cara - ale wolałabym śniegi Himalajów czy lody Antarktydy niż los, który mnie czekał w Londynie.

Markiz spojrzał na nią pytająco. Spodziewał się, że tym razem dziewczyna powie mu coś więcej o sobie. Siedziała jednak obok niego w ciemnym kącie powozu, gdzie nie dochodziły promienie księżyca. Widział tylko czubek jej głowy. Cara zachichotała w kącie.

- Wiem, czego chce się pan dowiedzieć - powiedziała - ale lepiej niech pan da sobie z tym spokój. Najważniejsze jest to, czy będzie pan na tyle szlachetny, żeby dać mi kogoś, kto zawiózłby mnie do Francji. Może też pan, jak już mówiłam, wysadzić mnie w najbliższym miasteczku. Zajmę się sobą sama.

- Jest o wiele lepsze rozwiązanie - zaproponował markiz.
- Powinnaś wrócić tam, skąd uciekłaś. Żeby nie wiem jak złe warunki czekały tam na ciebie, na pewno nie są gorsze od tych, które znajdziesz we Francji albo w jakimś małym miasteczku. Wszyscy uznają cię za niezwykle śmieszną osobę. Zapewniam cię.

- Porozmawiajmy może o czymś bardziej interesującym - przerwała mu Cara. - A może pan nie lubi rozmawiać w czasie podróży?

- Nie lubię - odrzekł markiz.

- Papa zawsze mówił, że rozgadane kobiety są nie do zniesienia. Mówił, że kiedy tylko powóz rusza, rozwiązują się im języki i stają się niedyskretne.

Markiz uśmiechnął się cynicznie. Pomyślał sobie, że kiedy jest sam na sam z kobietami, to nie tylko języki im się rozwiązują. Nie mógł jednak powiedzieć tego głośno.

W powozie zapanowała przez chwilę cisza.

- Robi mi się już trochę cieplej i czuję się senna. - A więc powinnaś się przespać.

- Prześpię się - zdecydowała Cara - jeśli nie wykorzysta pan okazji i nie wyrzuci mnie do rowu ani nie wsadzi w dyliżans jadący z powrotem do Londynu.

- Czy naprawdę sądzisz, że mógłbym to zrobić? - zdziwił się markiz.

Po ruchu jej ciała wywnioskował, że dziewczyna kręci przecząco głową. „

- Nie, uważa pan takie zachowanie za niegodne dżentelmena - odparła. - I dlatego wierzę, że mnie pan obudzi albo wtedy, kiedy dojdziemy do Broome, albo wtedy, kiedy będę... musiała... pana opuścić...

Przeciągała sennie ostatnie wyrazy. Markiz wiedział, że Cara zasypia. Za chwilę jej głowa ześliznęła się na poduszkę

leżącą w rogu powozu i dziewczyna położyła nogi na siedzeniu tuż obok markiza.

Broome zdawał sobie sprawę, że Cara zasnęła. Leżała teraz zwinięta w kłębek jak dziecko w łóżeczku. Przykrył ją futrem, po czym oparł się wygodniej o siedzenie i przymknął oczy. Miał nadzieję, że także zaśnie. Zamiast spać, zaczął się zastanawiać, kim była Cara i co właściwie powinien z nią zrobić.

Widać było, że to wykształcona dziewczyna z dobrego domu. Pomyślał sobie, że kiedy nastanie dzień, na pewno przekona się, że jest bardzo atrakcyjna.

Wiedział również, że musi podjąć decyzję, zanim dojadą do Broome. Gdyby bowiem przywiózł z Londynu do domu młodą kobietę przebraną za chłopca, natychmiast cały Beau Monde huczałby od plotek.

Nie chcę żadnego skandalu! - postanowił.

Wydawało mu się, że jedynym wyjściem z tej sytuacji jest zgodzić się na prośby dziewczyny i wysadzić ją na rynku małego miasta, które leżało pół godziny drogi przed Broome. Zaraz jednak uświadomił sobie, że jest to niemożliwe.

O ile bowiem Cara nie rozumiała, jakie, niebezpieczeństwa czekają młodego chłopca przebranego za dżentelmena lub, co gorsza, dziewczynę przebraną za chłopca, to markiz wiedział o tym doskonale.

W całym kraju panowały niepokoje. Rozmawiał przecież o tym wielokrotnie z członkami gabinetu, niestety bez żadnego rezultatu. W miastach, gdzie była szczególnie trudna sytuacja, dochodziło do gwałtownych protestów i aktów rozboju.

Trzy czwarte gabinetu to parowie królestwa. Pomimo dochodzących ich wieści i ostrzeżeń markiza Broome'a postanowili zdusić zarzewie rewolucji społecznej w państwie.

Z tysiąca pięciuset osób z północy Anglii, które brały udział w marszu, protestując przeciw wysokim cenom chleba, dwudziestu czterech skazano na śmierć. Więziono ludzi, zsyłano do kolonii lub nawet wieszano za to, że protestowali przeciwko niskim płacom i niezwykle trudnym warunkom życia.

Markiz był przekonany, że w najbliższej przyszłości czekają ich jeszcze wielkie kłopoty. I dlatego nie mógł zgodzić się na to, żeby zostawić bez pomocy młodą dziewczynę, która nie miała pojęcia o tym, jakie warunki panują w angielskich miastach i wsiach.

Głodni robotnicy zaraz zabraliby jej pieniądze, które miały zapewnić jej samodzielność. Gdyby próbowała się opierać, mogliby ją zabić lub potraktować w taki sposób, o którym markiz nie chciał nawet myśleć.

Najlepiej będzie, postanowił, jeśli wyślę ją do Francji, tak jak sobie tego życzy: Nie będę już za nią więcej odpowiedzialny.

Jednak pomyśl, żeby zrzucić z siebie odpowiedzialność za tę młodą kobietę, która z pewnością była damą, i umyć od wszystkiego ręce, wydał mu się nieznośny.

Nie zdążył jeszcze zdecydować, co powinien zrobić, kiedy zauważył, że powóz skręca w bramy jego posiadłości w Broome i jedzie długą, wysadzaną dębami aleją, prowadzącą do samego domu.

Potrząsnął delikatnie ramieniem dziewczyny, starając się ją przebudzić.

- Co... się stało? Co... się stało? - pytała, podnosząc się z siedzenia.

- Obudź się - powiedział markiz. - Przyjechaliśmy do mojego domu. Przypuszczam, że, choć niechętnie, muszę zaoferować ci dzisiaj nocleg.

Cara ziewnęła szeroko. Markiz zauważył, że musiała spać bardzo mocnym snem.

- Nocleg na dzisiaj - powtórzyła jego słowa, traktując je jako obietnicę pomocy, i zapytała: - A jutro wyśle mnie pan do Francji?

- Jeszcze się nad tym zastanowię - odparł markiz. . - Ale na razie nie chciałbym, żeby moja służba zobaczyła cię w tym bardzo podejrzanym przebraniu. - Mówiąc to, zsunął z ramion futro. - Lepiej włóż to na siebie i, na litość boską, postaraj się ukryć pod futrem swoje spodnie, zanim zdążę cię oddać w ręce mojego ochmistrza.

Cara zachichotała rozbawiona.

- Czy one pana szokują?

- Jestem zaskoczony i zaszokowany, że młoda kobietą w twoim wieku może być tak bezwstydna.

- Bzdura! - rzuciła Cara. - Skoro nie szokują pana przyjęcia, które wydaje pan dla swoich przyjaciół i o których wszyscy mówią straszne rzeczy, to na pewno mój strój nie może pana szokować.

Markiz miał właśnie zapytać, skąd wie o jego przyjęciach, kiedy zauważył, że powóz zajechał już przed dom. Służba stała przy otwartych drzwiach, z których na kamienne schody padało złote światło.

- Włóż to na siebie! - powiedział ostrym tonem markiz.

Powiedział to tak, jakby wydawał rozkazy swoim żołnierzom. Cara ponownie zachichotała.

Markiz uświadomił sobie, że sam nasuwa dziewczynie na ramiona obramowaną futrem pelerynę. Zauważył też, że dziewczyna była raczej niewysoka.

Kiedy doszli do jasno oświetlonego holu, z wielkimi, zdobionymi złotem i kością słoniową schodami, Cara prawie zniknęła pod jego wielką peleryną, która sięgała niemal podłogi. Wyglądała niezwykle dostojnie.

- Przywiozłem ze sobą niespodziewanego gościa, Newman - powiedział kamerdynerowi. - Poproś do mnie jak najszybciej panią Peel.

- Słucham pana, milordzie - odparł kamerdyner.

Na jego niewzruszonej twarzy nie drgnął żaden mięsień. Nie zdziwił się, że dobiegający już sześćdziesiątki ochmistrz będzie musiał wstać i przyjąć polecenia markiza o drugiej w nocy.

Bez słowa markiz skierował swe kroki do biblioteki. Właśnie tam zawsze czekały na niego gotowe kanapki, bez względu na to, o której porze dnia czy nocy wróciłby do domu. Niesiono mu już gorącą zupę. W kuchni na jego przybycie czekał zniecierpliwiony główny kucharz.

Po chwili służący przyniósł zupę dziewczynie. Markiz wypił trochę zupy ze srebrnej filiżanki o dwóch uchach i zapytał:

- Czy jeszcze czegoś ci potrzeba?

Odezwał się do dziewczyny po raz pierwszy od chwili, kiedy weszli do domu. Nie spojrzał jej jeszcze w twarz, być może dlatego, że obawiał się tego, co mógł ujrzeć.

Zawinięta szczelnie w futro, Cara siedziała przy kominku, na którym płonęły szczapy drewna. Markiz ujrział widok całkiem odmienny od tego, jaki spodziewał się zobaczyć.

Wiedział, że dziewczyna ma jasne włosy, i dlatego wydawało mu się, że ujrzy teraz niebieskie oczy. Tak wyglądała każda urocza angielska dziewczyna.

Okazało się jednak, że Cara ma twarz przypominającą nieco kształtem serce. Zamiast niebieskich patrzyły na niego zielone, lekko skośne oczy. Dzięki temu miała mylący i prowokacyjny wyraz twarzy. Markizowi wydawało się, że wiąże się to jakoś ze sposobem, w jaki z nim rozmawiała. Po obu stronach lekko uniesionych w górę ust tworzyły się

dołeczki. Całość obrazu dopełniał bardzo mały, prosty i arystokratyczny nosek.

Markiz przyglądał się jej tym badawczym spojrzeniem, które wiele osób napawało lękiem. Oczy dziewczyny błyszczały wesoło. Uśmiechnęła się, pokazując swoje śliczne dołeczki na twarzy.

- Czy wyglądam dużo gorzej, niż się pan spodziewał? - spytała przekornie.

- Chcę podjąć w końcu decyzję - odparł markiz. - Z twojego punktu widzenia rzecz ma się trochę gorzej. Z takim wyglądem nie mogę wysłać cię do Francji, nawet pod opieką kuriera.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zaciekała się Cara.

- Jesteś zbyt młoda, zbyt atrakcyjna i bez wątpienia pochodzisz z szanowanej rodziny.

- Jak pan może być taki śmieszny? - spytała. - Nic pan o mnie nie wie. Jestem przecież tylko zmęczoną przybłądą, która zakłóciła panu spokój. Chciałam, żeby mnie pan tylko podwiózł. Nie życzę sobie, żeby traktował mnie pan jak jakąś modnisię, którą przecież nie jestem!

- Myślę, że to powinienem ocenić ja - rzucił markiz. - Gdybyś nawet nie była modnisią, jesteś bardzo młoda. W tym wieku, czy ci się to podoba, czy też nie, potrzebujesz kogoś do towarzystwa.

Cara wypiła nieco zupy z filiżanki.

- Ale z pana nudziarz! Będę teraz musiała od pana uciec tak, jak uciekłam z...

Urwała w pół zdania. Zdała sobie sprawę, że powiedziała zbyt wiele o sobie. Widziała również, że markiz wsłuchuje się uważnie w jej słowa, próbując dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Powiedziała więc:

- Był pan bardzo uprzejmy i zaofiarował mi pan nocleg na dzisiejszą noc, więc chciałabym już się położyć. Jestem tak zmęczona, że mogę się przed panem zdradzić. Powiem coś, czego mogę rano bardzo żałować.

- Pozwolę ci iść do łóżka pod jednym warunkiem - odpowiedział markiz.

- Jaki to warunek?

- Że dasz mi święte słowo honoru, że złożysz przysięgę na Biblię lub na coś, co jest dla ciebie święte, że nie uciekniesz stąd, dopóki wspólnie nie dojdziemy do przekonania, co jest dla ciebie najlepsze.

W pokoju przez chwilę zapanowała cisza.

- A jeśli odmówię? - spytała Cara.

- To z przykrością będę musiał dopilnować, żeby cię zamknęli na noc lub, co może być dla ciebie krępujące, każę mojemu ochmistrzowi, żeby przysłał do twojego pokoju jakąś służącą. Będzie z tobą spała i dopilnuje, żebyś nie uciekła. Cara wyprostowała się na krześle z błyskiem w oku.

- Jak pan śmie nawet o tym mówić i chcieć być odpowiedzialny za mnie w sposób, który graniczy z przemocą!

Markiz roześmiał się.

- Teraz zachowujesz się jak młoda tygrysica, a nie jak młoda dama. Niemniej jednak nawet tygrysicę zamyka się na noc do klatki.

- Myślę, że zrobiłam błąd, wybierając pański powóz w Londynie - zmartwiła się Cara. - Zastanawiałam się, czy nie wsiąść do powozu młodego Bucka, ale on miał tylko cztery konie. Wypił za to z księciem regentem zbyt dużo wina i nie miałabym żadnych kłopotów, żeby opuścić jego powóz.

Markiz pomyślał sobie, że Cara była zbyt niewinna, żeby wiedzieć, iż znalazłaby się w bardzo nieprzyjemnej sytuacji. Nie chciał jednak jej o tym mówić.

- Mój ochmistrz zaraz się tu zjawi. Czy chcesz, żeby jedna ze służących spała z tobą w pokoju, czy też dasz mi słowo honoru, że nie uciekniesz?

- A skąd pan wie, że go dotrzymam? - spytała.

- A ty skąd wiesz, że jestem uczciwy? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi, jakby zmuszając dziewczynę do podjęcia decyzji.

- Daję panu moje słowo honoru - powiedziała szybko Cara.

Na wargach markiza pojawił się słaby uśmiech. Odwrócił się do służącego. Kamerdyner, ubrany w czarną liberię, wyglądał tak, jakby wcale nie kładł się spać.

Markiz oddał Agamemnona dwom stajennym, którzy odebrali wodze z lekkim niepokojem. Potem, idąc po schodach na górę, pomyślał sobie, że z dziewczyną może mieć równie dużo kłopotów, co z ujarzmieniem tego wierzchowca, Agamemnon dostał jednak taką nauczkę, której nigdy nie zapomni.

W holu oddał służącemu swój kapelusz, rękawiczki i szpicrutę. Kamerdyner, który szedł przed nim, otworzył drzwi do jadalni i powiedział:

- Myślę, że młoda dama już je śniadanie, milordzie. Powiedziałem jej, że nie chce pan, by na pana czekała.

Markiz nie odezwał się. Doskonale wiedział, że za sprawą Agamemnona spóźnił się prawie dwie godziny. Nie miał jednak zamiaru usprawiedliwiać się przed gościem, którego nie zapraszał do swego domu.

Wszedł do pokoju, zastanawiając się, jak też Cara może teraz wyglądać.

Dziewczyna siedziała przy okrągłym stole przy oknie. Na jego widok odłożyła nóż i widelec, wstała i złożyła przed nim dworski ukłon.

Miała na sobie prostą, śliczną suknię. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że pasuje na nią jak ulał. Po chwili markiz spostrzegł, że jest na nią za duża i dlatego dziewczyna przepasała się w pasie szarfą.

- Szkoda, że nie zabrał mnie pan z sobą na . przejażdżkę - powiedziała z wyrzutem.

- Dzień dobry, Caro! - zawołał wesoło markiz, jakby przypominając jej o manierach. - Gdybym nawet o tym pomyślał, to przecież trudno, żebym miał dla ciebie jakieś odpowiednie na przejażdżkę ubranie.

Cara uśmiechnęła się i usiadła przy stole.

- Nie chciałby pan, żebym jeździła na koniu jak mężczyźni?

- Oczywiście, że nie!

Markiz nałożył sobie potrawkę z półmiska podanego mu przez jednego ze służących, podczas gdy drugi nalewał mu do filiżanki kawę. Markiz zawsze po przejażdżce pił kawę, choć wszyscy jego znajomi woleli brandy.

Lokaj postawił przed nim koszyczek z grzankami i podsunął srebrną maselniczkę z masłem, zrobionym z mleka jego własnych krów rasy Jersey. Położył też obok niego mały dzwonek.

Cara patrzyła na te objawy troski ze strony służących z lekkim błyskiem w oczach.

- Nic dziwnego, że się pan jeszcze nie ożenił - powiedziała. - Nie czuje pan takiej potrzeby, skoro zajmuje się panem tylu służących. Pani Peel mówi o panu tak, jakby była pana matką, a pan malutkim chłopcem.

Markiz ledwo powstrzymał się od śmiechu.

- Jeśli próbujesz mnie teraz sprowokować, Caro, to jest jeszcze na to za wcześnie. Poza tym jestem głodny.

- To dlatego, że jeździł pan konno - zauważyła Cara. - Uważam, że jest pan bardzo niegościnnie, skoro nie zabrał

mnie pan z sobą na przejażdżkę. Jestem prawie pewna, że w tym domu znalazłby się dla mnie jakiś strój do jazdy konnej.

- A skąd ta pewność? - spytał markiz.

- Ponieważ, choć trudno mi w to uwierzyć, pani Peel ma całą szafę rzeczy, które należały albo do pańskich krewnych albo do gości, którzy tu mieszkali. Są jeszcze ubrania, z których pan wyrósł.

- Te proszę łaskawie zostawić w spokoju - rzucił ostro markiz.

- Jest ich bardzo dużo - powtórzyła Cara - i bardziej na mnie pasują niż to ubranko z Eton. Jeśli mam jechać do Francji, muszę nosić ubranie młodego mężczyzny.

- Jeśli dowiem się, że nosisz moje ubrania - ostrzegł ją markiz - to przyrzekam, że potraktuję cię jak młodego dżentelmena i sprawię ci porządne lanie. Zasłużyłaś sobie na to!

- A więc wróciliśmy do punktu wyjścia - roześmiała się Cara. - Co zamierza pan ze mną zrobić?

- Jeszcze nie powziąłem decyzji. Zanim jednak to zrobię, chciałbym, żebyś powiedziała mi o sobie nieco więcej, niż to, co słyszałem do tej pory.

- A co dokładnie chce pan wiedzieć? - odezwała się po chwili milczenia dziewczyna.

- Po pierwsze, kim jesteś - odparł markiz. - I po drugie, dlaczego uciekasz?

Cara odsunęła swój talerz, oparła łokcie na stole i podparła brodę dłońmi. Światło padało na jej włosy. Markiz spojrział na nią i pomyślał sobie, że wygląda niespodziewanie pięknie. Była bardzo młoda i zdecydowanie różniła się od wszystkich kobiet, które dotąd znał.

Przyzwyczał się do tych konwencjonalnych piękności, które przeżyły ze swoimi mężami wiele lat, dały im wielu potomków, a przede wszystkim tak bardzo oczekiwanego

dziedzica, a teraz starały się bawić flirtowaniem z najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego znały, to znaczy z markizem.

W ich świecie istniało niepisane prawo, że kiedy flirt stał się sprawą serca, powinno się go starannie ukrywać. Mężowie tych dam zaś, nawet jeśli coś podejrzewali, nie chcieli, żeby ktokolwiek potwierdził ich podejrzenia.

Markiz Broome, ze swoim władczym i grymaśnym zachowaniem, cieszył się wzglęдами wielu z najwspanialszych kobiet w Anglii. Nie ulegało wątpliwości, że regent zebrał wokół siebie w Carlton House kolekcję wspaniałych kobiet, którym nie dorównywały żadne inne na całym świecie.

Markiz właściwie nie wiedział, dlaczego twarz dziewczyny miała w sobie coś przyciągającego. Pomyślał, że będzie mu niezwykle trudno zapomnieć o niej.

Być może to efekt jej krótkich włosów. Obcięła je nieco niestarannie i nie ułożyła dokładnie. Były w takim nieładzie, na jaki nie pozwoliłaby sobie żadna z kobiet, uważających się za czołowe reprezentantki wielkiego świata. Poza tym miała w sobie coś, co markiz zauważył do tej pory jedynie u lady Caroline Lamb.

Cokolwiek by pomyślał o dziewczynie, jedno nie ulegało wątpliwości: Cara była damą z urodzenia i dlatego nie mógł jej wysiać do Francji samej, a nawet pod opieką kuriera. W swojej własnej ocenie zachowałby się nieodpowiedzialnie.

Nie zauważył nawet, że wpatruje się w dziewczynę.

- Mam nadzieję, że koncentruje się pan na moich zaletach, a nie na wadach - przerwała oględziny Cara.

- Nie podziwiam cię jako kobietę - odparł markiz. - Próbuję zdecydować, co mam zrobić z tobą jako osobą.

- A więc niech pan moją osobę lub raczej nie chcianą paczkę, na którą się pan całkiem przypadkowo natknął, wyśle do Francji - odrzekła Cara. - Pojadę jako chłopiec lub

dziewczyna, jak pan woli. Kiedy się już pan mnie pozbędzie, nie będzie pan musiał o mnie więcej myśleć.

Markizowi przyszło do głowy, że to mogłoby okazać się trudne do wykonania. To nieprawdopodobne, ale po tak krótkiej znajomości miał dziwne uczucie, że się o nią martwi.

- Chcę zaproponować - powiedział - żebyś pozwoliła mi najpierw zjeść w spokoju śniadanie. Potem, kiedy już opowiesz mi swoją historię, zdecyduję, jak mogę ci pomóc. Myślę jednak, że powinienem cię ostrzec - zawsze wiem, kiedy ktoś chce mnie okłamać.

Zadźwięczał spontaniczny i radosny śmiech dziewczyny.

- Doprawdy, jest pan bardzo niemądry - rzekła. - Czy panu się wydaje, że ja o tym nie wiem? Oczywiście, że nikt nie może skłamać i pana oszukać. Ma pan jakiś instynkt, tak jak i ja. Mój instynkt mówi mi, że mi pan pomoże, żeby nie wiem jak się pan wykręcał i wymykał z sieci, jaką na pana zarzuciłam.

- Sieci? - powtórzył zdziwiony markiz.

- Och, niech się pan nie boi - uspokoiła go pospiesznie Cara. - Jeśli myśli pan, że próbuję wyjść za pana za mąż, to jest pan w błędzie. Postanowiłam sobie, że nigdy nie wyjdę za mąż. To jest ostateczna decyzja. I nie zamierzam z nikim o tym rozmawiać!

Mówiła tak gwałtownie, że markiz spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Przypuszczam, i tu polegam na mojej intuicji, że przyczyną, dla której uciekasz, jest to, że ktoś chciał cię wydać za mąż.

- Jest pan bardzo domyślny - powiedziała z uśmiechem - i mówiąc szczerze, zaskoczył mnie pan swoją spostrzegawczością.

- Twoja uwaga jest dla mnie niemal obrazą - stwierdził markiz.

- Nie jest to do końca prawda - odparła dziewczyna. - Niewielu mężczyzn ma intuicję. Zwykle wyobrażają sobie, jakie są kobiety, i podporządkowują je jakiemuś wzorowi, który przez lata tworzyły ich niańki, wychowawczynie, zarządczynie i oczywiście matki i ojcowie. - Roześmiała się głośno i ciągnęła dalej: - To znaczy, że kobieta jest dla nich jakąś kukiełką, lalką, kimś bez uczuć i oczywiście nie posiada intuicji.

- Czy twój narzeczony jest właśnie takim człowiekiem? - spytał markiz. - I czy dlatego nie chcesz za mego wyjść za mąż?

Markiz spodziewał się, że Cara nie zechce odpowiedzieć na to pytanie. Dziewczyna jednak wzdrygnęła się i wykrzyknęła:

- On jest straszny! Okropny! Odrażający! Wolę umrzeć, niż zostać jego żoną!

- To się może zdarzyć, jeśli nie będziesz na siebie uważać - zauważył delikatnie markiz. - Ale wydaje mi się, że ten dżentelmen nie jest jedynym mężczyzną na tym świecie.

- Jest jedynym człowiekiem, którego wolno mi poślubić.

- A czy jest ktoś, za kogo wolałabyś wyjść za mąż? - spytał.

Dziewczyna podniosła na niego wzrok.

- Teraz próbuje pan upiększyć tę historię, uczynić ją bardziej romantyczną. Nie! Jak już panu powiedziałam, nie mam zamiaru nikogo poślubić i dlatego nie grozi panu z mojej strony żadne niebezpieczeństwo, jeśli się pan tego obawia.

Markiz odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się głośno.

- Jest pani bardzo szczerą, Caro. Nie jest pani jednak zbyt uprzejmą.

- A dlaczego miałabym taka być? - spytała. - Słyszałam o pana zaletach i o tym, jak kobiety lecą do pana jak te głupie ćmy do ognia. Zapewniam, że gdyby błagał mnie pan na

kolanach, bym została pańską żoną, powiedziałabym „nie”. Mówiąc szczerze, nienawidzę mężczyzn, wszystkich mężczyzn!

Wyrzucała z siebie ze złością słowa tak, jak to robiła w nocy, kiedy markiz nazwał ją tygrysią.

- Co ten mężczyzna zrobił pani, że mówi pani w taki sposób? - spytał po chwili markiz.

Wydawało mu się, że Cara wstrzymała na moment oddech. W jej oczach pojawił się dziwny błysk, którego nie rozumiał.

- Nie będę rozmawiać o przeszłości. Interesuje mnie tylko przyszłość. Ponieważ wydaje mi się, że jest pan rozsądny, proszę, by postarał się pan zrozumieć, że muszę stąd szybko wyjechać. W przeciwnym razie odkryją mnie albo tutaj, albo w każdym innym miejscu w Anglii.

- A jeśli panią znajdą, to co się stanie? - zapytał. Kiedy Cara spojrzała na niego, markiz zobaczył w jej oczach strach, którego nigdy nie spodziewał się ujrzeć w oczach kobiety.

- Może pan sobie myśleć, że zachowuję się teatralnie albo że dramatyzuję, ale raczej zabiję się, niż zaakceptuję to, co dla mnie przygotowano. Zapewniam pana, że to jest gorsze, niż piekło wymyślone przez wszystkich znawców Biblii.

Mimo że jej słowa brzmiały bardzo dramatycznie, mówiła spokojnym głosem. Słyszało się w nim szczerść, której markiz nie mógł ignorować. Nie śmiał się ani nie kłócił z tą młodą kobietą. Zadzwonił na służącego, a kiedy ten zjawił się w pokoju, wziął z jego rąk półmisek z gorącym daniem i skinął na dwóch pozostałych, żeby nalali mu kawy.

Kiedy służba opuściła pokój, zauważył, że Cara siedzi oparta na krześle i przygląda mu się tak samo badawczo, jak on przyglądał się przed chwilą jej.

Przełknął parę kęsów i zapytał:

- I cóż, jakie są pani wnioski? Czy odkryła pani jakieś moje dobre strony?

Cara roześmiała się.

- Nawet kilka. Myślę, że jest pan apodyktyczny, autokratyczny, co przeraża ludzi, ale na mnie nie robi żadnego wrażenia.

- A dlaczego nie?

- Odpowiem na to pytanie trochę później, jeśli przekonam się, że moje sądy o panu są słuszne.

- Jestem nieco rozczarowany - powiedział markiz. - Po tym wszystkim, co od pani usłyszałem, sądziłem, że jest pani bardzo błyskotliwa i podejmuje pani decyzje w mgnieniu oka.

- Wiem, że mogę panu ufać, jeśli o to panu chodzi. Wiem, że jeśli obiecuje pan komuś pomoc, to dotrzymuje pan słowa. Ale mówiąc szczerze, patrzyłam na pana jako mężczyznę.

- To gatunek, którego pani nie znosi - zauważył markiz.

- Nienawidzę mężczyzn! - wybuchnęła Cara. - Ale pan posiada pewne cechy, które przypominają mi mego ojca.

- Mam nadzieję, że to komplement, i dlatego proszę mówić dalej.

- Niespodziewanie dla mnie samej myślę, że ma pan nawet poczucie humoru.

- Dziękuję bardzo - odparł markiz z przekąsem.

- Jeśli chce pan, by mu prawić komplementy - mówiła Cara - to jest wiele kobiet, które chętnie to zrobią. Słyszałam, że są to kobiety należące zarówno do wielkiego świata, jak i te, o których mówią, że żadna dama nie powinna nawet domyślać się ich istnienia.

- To dlaczego pani o tym mówi?

- Ponieważ mężczyźni tacy jak pan uważają, że to bardzo atrakcyjny temat. Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego tak jest, że skoro ma pan wokół siebie tyle pięknych i wspaniałych kobiet, szuka pan jeszcze kobiet z rynsztoka lub może z

domów rozrywki i teatrzyków, o czym żadna prawdziwa dama nie powinna nawet mówić.

- A zatem pani też nie powinna o tym mówić! - rzucił ostro markiz.

- Interesują mnie z tego względu, że czynią świat bardziej złożonym i w pewien sposób bardziej intrygującym, niż ten, którym muszę się cieszyć jako debiutantka. - Dziewczyna westchnęła głęboko i ciągnęła dalej: - Jest on dla mnie niezwykle nużący. To tylko targowisko małżeńskie, na którym ktoś stara się złapać rybkę w sieci i to im większą, tym lepiej!

Znowu zaczęła mówić tak szybko i gwałtownie, że markiz roześmiał się.

- Pani metafory są cokolwiek niezrozumiałe - zauważył. - Ale rozumiem, co chce pani powiedzieć. Oczywiście, nikt nie może zmusić pani do poślubienia kogoś, kogo pani nie chce, prawda?

Cara wpatrywała się w niego przez chwilę.

- Jest to pańska pierwsza idiotyczna uwaga od chwili, kiedy się spotkaliśmy.

- Kto zmusza panią do małżeństwa? - spytał markiz. - Pani ojciec, pani opiekun?

- Jest pan bardzo sprytny i stara się pan wyciągnąć ze mnie to, czego nie chcę panu powiedzieć - zauważyła Cara. - Jeśli powiem panu to, co chce pan wiedzieć, zabierze mnie pan jako więźnia i zaprowadzi tam, gdzie czeka mnie niechybna śmierć.

- Nie wierzę pani! - wykrzyknął markiz. - I co więcej, nie lubię jeść śniadania z histeryczkami.

Mówił to w sposób, który wprowadziłby w zakłopotanie większość jego znajomych. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety przepraszałyby go i jękali się z zakłopotania. A Cara roześmiała się tylko. Jej śmiech dźwięczał pod sufitem salonu

i mieszał się z promieniami słonecznymi chłodnego poranka, wyglądającymi zza szarych chmur.

- Jest pan bardzo, ale to bardzo sprytny - powiedziała dziewczyna. - Cofam słowa, że jest pan nierozsądny. Stara się pan wyprowadzić mnie z równowagi, bo wydaje się panu, że wtedy powiem to, co chce pan wiedzieć. - Znowu roześmiała się głośno. - To stara sztuczka. Wymyślili ją francuscy rewolucjoniści, kiedy przesłuchiwali arystokratów i chcieli ich obciążyć na podstawie ich własnych zeznań.

- A skąd pani to wie? - zapytał rozbawiony markiz.

- Może wyda się to panu dziwne, ale w odróżnieniu od wielu dziewcząt w moim wieku, dużo czytam! - odparła Cara.

- A teraz zaostrzę jeszcze pana ciekawość. Nic, co przeczytałam, nie jest równie złe, popsute i odrażające jak to, z czym spotkałam się w życiu.

Mówiła to w taki sposób, że markiz nie mógł odezwać się, by nie powiedzieć, że nie wierzy jej słowom, bądź że ona sama nie wie, co mówi.

Wyglądała na bardzo młodą osobę, a mimo to jej spokojny i opanowany głos robił na nim wrażenie, że jest to bardzo doświadczona przez życie kobieta.

Markiz odsunął od siebie talerz i oparł się wygodnie o krzesło.

- Chciałbym, żeby mi pani zaufała - powiedział. - Jeśli mam pani pomóc, tak jak tego pani ode mnie oczekuje, to musi być pani rozsądna i powiedzieć mi prawdę. Chodzi o to, żebym mógł wyrobić sobie sąd, czy wszystko jest tak złe i okropne, jak to pani przedstawia.

Mówiąc to, spojrzął na dziewczynę. Ich oczy spotkały się. Przez chwilę wydawało mu się, że połączyła ich jakaś niewidzialna, magnetyczna siła, która sprawiła, że Cara nie mogła oderwać od niego wzroku.

Dziewczyna opanowała się i powiedziała sobie, że nie wolno jej słuchać jego słów. Nie mogła pozwolić, by złapał ją w swoje sidła. W tej samej chwili otworzyły się drzwi do salonu.

- Hrabia Matlock, milordzie - zaanonsował kamerdyner.

Przez chwilę markizowi zdawało się, że nie zrozumiał tego, co powiedział służący, ale do pokoju już wszedł człowiek, którego nienawidził. Za nim stało dwóch innych mężczyzn.

W jadalni zapanowała śmiertelna cisza. Przerwał ją dopiero głos Cary, przypominający krzyk zwierzęcia schwytanego w pułapkę.

- Stryj... Lionel! - krzyknęła głosem pełnym przerażenia.

ROZDZIAŁ 3

Przez chwilę zdumiony markiz wpatrywał się w hrabiego.

Był to mężczyzna w średnim wieku. W młodości uważano go powszechnie za przystojnego. Jedyna jego wada to zbyt wąsko osadzone oczy.

Ślady rozpusty były wypisane na jego twarzy. Teraz jego rysy dodatkowo zaostrzyły się pod wpływem wrogości i nienawiści do markiza. Wchodząc do pokoju uśmiechał się nieprzyjemnie.

Markiz z początku nie rozumiał triumfu bijącego z jego twarzy. Nie ruszając się celowo z krzesła, zapytał:

- Czy mogę dowiedzieć się, dlaczego pan się tutaj zjawił, Matlock?

Zauważył, że hrabia ma na sobie ubranie do konnej jazdy. Jego długie buty pokrywała gruba warstwa kurzu. Trzymał w dłoni pejcz. Na pierwszy rzut oka można się było domyślić, że jechał bardzo szybko. Spojrzenie, jakim obrzucił swoich towarzyszy, powiedziało markizowi bardzo wiele.

Jeden z nich był człowiekiem o ostrej twarzy, długim nosie i włosach koloru piasku. Przypominał łasicę. Pod płaszczem drugiego widać było koloratkę.

Miał siwe włosy i pociągającą, trupa twarz.' Robił wrażenie człowieka zagłodzonego na śmierć.

Hrabia nie zwrócił uwagi na Careę. Przeszedł przez pokój i stanął twarzą w twarz z markizem.

- Przyjechałem tutaj, Broome - powiedział - żeby poinformować pana, iż w końcu doczekałem się tego, o czym zawsze marzyłem: mam pana w ręku.

Twarz markiza nie zmieniła się, ale w jego oczach pojawiła się ostrożność.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi. Uważam, Matlock, że powinien wyjaśnić pan nie tylko swoją

obecność, ale także obecność w moim domu tych ludzi, których tutaj przecież nie zapraszałem.

- Proszę pozwolić mi ich sobie przedstawić - odparł hrabia z dworskim ukłonem. - Mój adwokat, pan Israel Jacobs z Lincoln's Inn i pastor Adolf Jenkins. Prawdopodobnie nie spotkał pan ich dotychczas, jako że ich klientela to głównie mieszkańcy więzienia Fleet.

W głosie hrabiego wyraźnie zabrzmiało szyderstwo i podeksycytowanie. Jego towarzysze stali w drzwiach.

Markiz dostrzegł, że Cara cofnęła się aż pod ścianę. Chciała być jak najdalej od hrabiego. Przyszło mu do głowy, że dziewczyna ma ochotę uciec z pokoju. Było to niemożliwe, gdyż ludzie hrabiego stali w drzwiach, a służba starannie pozamykała okna wychodzące na ogród.

- W dalszym ciągu nie wiem, co panów tutaj sprowadza - powiedział markiz po dłuższej chwili milczenia.

- Zaraz to panu wyjaśnię - odparł hrabia. - Oskarżam pana, Broome, o porwanie i, bez wątpienia, gwałt na nieletniej.

Markiz zeszywniał. Nie drgnął mu żaden mięsień na twarzy. Cara krzyknęła przerażona:

- To kłamstwo! Markiz mnie nie porwał! Ja sama ukryłam się w tym powozie.

Hrabia nawet nie odwrócił w jej stronę głowy. Udawał, że nie słyszał tego, co powiedziała. Utkwił oczy w markizie. Mówił wolno i dobitnie:

- Jestem gotowy, Broome, dać panu szansę. Może pan wybierać: albo stanie pan przed sądem oskarżony o zbrodnię, za którą czeka pana zesłanie do Australii, albo ożeni się pan z moją siostrzenicą. Musi pan jednak zapłacić mi za ten zaszczyt dziesięć tysięcy funtów.

Kiedy skończył, w pokoju zapadła cisza. Markiz uznał, że jest bardziej znacząca niż wszystkie słowa. Widział wyraźnie,

że hrabia ma w ręku atuty i nie zawaha się ich użyć. Domyślał się, że nie tylko sukcesy jego koni rozwścieczyły hrabiego. Markiz wiele razy uznawał za konieczne złożenie do Klubu Jeździeckiego raportu o łamaniu zasad wyścigów przez dżokejów hrabiego. W rezultacie raz zdyskwalifikowano jego konia, który wygrał wyścig, a nagrodę przyznano koniowi, który przyszedł na drugim miejscu. Ten koń należał do markiza.

Markiz wiedział, że hrabia nigdy mu tego nie wybaczy. Teraz przyszło mu na myśl, że postąpił nierozważnie, zdając się na łaskę swego przysięgłego wroga. Hrabia cieszył się, że może nareszcie się na nim zemścić.

Najgorsze było to, że markiz przez wiele lat nie dawał się złapać na żaden haczyk. Każda pułapka zastawiona na niego, najbardziej pożądanego kawalera wielkiego świata, kończyła się fiaskiem. Nie było takiej rodziny o arystokratycznym pochodzeniu w Anglii, która nie chciałaby go witać z radością jako męża jednej ze swych córek.

Już dawno jednak markiz postanowił, że nie ma zamiaru się żenić. Nie chciał, żeby złowili go jacyś ambitni rodzice, których pełno było w salach balowych Mayfair w Londynie. Kiedy jego decyzja stała się głośna w Londynie, wywołała wiele plotek. Przedstawiono ją nawet piórami satyryków.

Czasami przychodziło mu do głowy, że musi przecież mieć następcę. Wiedział nawet, jakie wymagania będzie musiała spełnić przyszła markiza Broome. Oczywiście nie mogła to być żadna niedoświadczona i niewykształcona dziewczyna. Był przekonany, że znudziłaby go w kilka tygodni po ceremonii ślubnej.

Miał jeszcze bardzo dużo czasu, żeby wybrać kandydatkę na żonę. Chciał wybrać taką kobietę, która pasowała do modelu jego życia i robiła dokładnie to, czego będzie od niej wymagał.

Nigdy, w najczarniejszych nawet myślach, nie przyszło mu do głowy, że kiedykolwiek może otrzymać takie ultimatum, jakie właśnie postawił mu hrabia. Gorączkowo szukał wyjścia z tej sytuacji. Swoim spokojnym, oschłym głosem powiedział:

- Nie mogę uwierzyć w to, co pan mówi. Jeśli to żart, to w bardzo złym guście.

- To nie jest żaden żart, zapewniam pana - odparł ostro hrabia. - Pan Jacobs jest gotowy, jeśli pan odmówi, zawieźć mój podpisany już wniosek do naczelnika policji hrabstwa. Może się pan spodziewać, że będzie pan aresztowany za kilka godzin. Zabiorą pana do więzienia Old Bailey i tam będzie pan oczekiwał na sąd...

Hrabia przerwał, chcąc sprawdzić, jaki skutek wywrą na markizie jego słowa.

- Pastor Jenkins jest w posiadaniu specjalnego zezwolenia na zawarcie małżeństwa. Uzyskałem je przed wyjazdem z Londynu. Pozwoli ono panu poślubić moją siostrzenicę w pańskiej prywatnej kaplicy. Wybór należy do pana.

Markiz odetchnął głęboko. Już miał powiedzieć, żeby hrabiego i jego sługi diabli wzięli, kiedy rozległ się głośny krzyk Cary. Dziewczyna wyszła na środek pokoju.

- Jeśli myślisz, że poślubię markiza w tej sytuacji - powiedziała z wściekłością w głosie - to bardzo się mylisz! Uciekłam, bo próbowałeś mnie wydać za tego obrzydliwego człowieka - bestię. Postanowiłam sobie, że nie wyjdę za nikogo. Nie możesz mnie do tego zmusić!

Hrabia odwrócił się i spojrzał na dziewczynę po raz pierwszy od chwili, kiedy wszedł do pokoju. Markiz dostrzegł nienawiść w jego oczach.

- Jak śmiesz mi się sprzeciwiać? - zawołał. - Cóż, jestem gotowy przyznać, że wybrałaś sobie bardziej atrakcyjnego

kochanka niż Forstrath, ale wyjdiesz za niego. I przestań wreszcie histeryzować!

- Nie histeryzuję! - odparła ostrym głosem Cara. - Mówię ci tylko, że nie poślubię ani markiza, ani tego potwora Sir Mortimera Forstratha. Żadna ceremonia ślubna nie jest ważna, jeśli panna młoda powie „nie”!

Wyrzucała z siebie słowa jedno po drugim. Oczy błyszczały jej dziwnym blaskiem.

Hrabia nie przerywał jej. Podniósł rękę i uderzył ją w twarz tak mocno, że upadła na podłogę. Następnie tak szybko, że markiz nie zdążył temu przeszkodzić, przełożył pejcz z lewej dłoni do prawej i z całej siły zaczął wymierzać dziewczynie potężne ciosy.

Zdażył uderzyć dwa razy, kiedy markiz zerwał się na równe nogi krzycząc: - Stój! Jak śmiesz bić kobietę w moim domu!

Odepchnął stół i ruszył do hrabiego z groźnie zaciśniętymi pięściami. W tej samej chwili Israel Jacobs, stojący dotąd przy drzwiach, zastąpił mu drogę. Ku zdziwieniu markiza miał w dłoni pistolet.

- Proszę się zatrzymać, milordzie - rozkazał Jacobs. - Jako opiekun prawny, hrabia ma pewne prawa i, jak pan widzi, w ich ramach wymierza właśnie swojej podopiecznej karę.

Hrabia spojrzał na markiza.

- To prawda - powiedział. - I kiedy skończę z tą małą, zdradziecką istotą, wyjdzie za samego diabła, jeśli tylko jej tak rozkażę.

Uniósł pejcz. Uderzył, a Cara krzyknęła z bólu.

Markiz wyliczył sobie, że jeśli będzie działał szybko i zdecydowanie, może mu się uda wytrącić Jacobsowi pistolet. Miał pięćdziesiąt procent szans, że nie przeszyje go kula.

Napreżył już mięśnie, gotując się do skoku, kiedy spostrzegł, że Parson również celuje w niego z pistoletu.

Mimo, że trzymała go trzęsąca się ręka amatora, w dalszym ciągu pistolet pozostawał śmiertelnościaną bronią.

Teraz, kiedy dwa pistolety mierzyły w jego serce, markiz nie miał żadnych szans, by uniknąć nie tylko ran, ale i śmierci.

Stał niezdecydowany, podczas gdy Cara krzyczała z bólu.

- Doskonale, Matlock - powiedział markiz, czując się tak, jakby podpisał na siebie wyrok śmierci. - Wygrałeś to starcie. Jest to doskonale przemyślany szantaż.

Hrabia opuścił ramię z pejcem.

- Cieszę się, że pan to docenił, Broome. Przejdźmy więc do interesów.

Markiz z najwyższym trudem zachowywał spokój. Nie odzywał się. Przeszedł przez pokój i podszedł do stojącej przy kominku etażerki. Zastanawiał się rozpaczliwie, czy ucieczka jest jeszcze możliwa. Jeśli tak, to co powinien teraz zrobić?

Adwokat i pastor opuścili pistolety, ale nie schowali ich do kieszeni. Hrabia patrzył na dziewczynę takim wzrokiem, że markizowi zdawało się, że chciał ją kopnąć.

- Jaka szkoda - odezwał się hrabia - że twój przyszły mąż poddał się tak szybko. Szkoda, bo nie mogę dać ci lania, na jakie zasłużyłaś! Jak śmiałaś uciec z mego domu?!

Zamilkł na chwilę, jakby czekał na odpowiedź.

- Ale kto to wie? Być może teraz uda mi się uzyskać dla ciebie lepszą pozycję w wielkim świecie, niż gdybyś wyszła za Mortimera Forstratha.

Markiz nagle uprzytomnił sobie, o kim hrabia mówi.

Nie znał osobiście Mortimera Forstratha. Był to ten typ człowieka, którego nie chciał nigdy poznać. Wiedział, że w klubie, do którego Forstrath należał, nikt go nie lubił.

Nie mógł sobie akurat teraz przypomnieć, dlaczego tak się działo, wierzył jednak, że Forstrath nie był odpowiednim kandydatem na męża dla Cary.

Hrabia skończył i podszedł do markiza. Stali teraz przed sobą i patrzyli na siebie jak bokserzy na ringu przed walką.

- Najpierw żądam pańskiego czeku, Broome - powiedział szyderczym tonem hrabia. Na jego wąskich ustach błąkał się uśmieszek. - Uroczystość zaślubin odbędzie się natychmiast.

Cara z trudem wstała z podłogi. Była bardzo blada, ale na jednym policzku pozostały czerwone ślady po uderzeniu. Paliły ją pręgi na plecach. Jedyne, o czym teraz myślała, to wydostać się z tego pokoju jak najszybciej, zabrać konia ze stajni i uciec jak najdalej, zanim ktokolwiek zdołałby ją zatrzymać.

Przypomniała sobie, że pieniądze i biżuteria pozostały w pokoju na górze. Teraz nie miało to jednak większego znaczenia. Najważniejsze to uciec, zanim stryj zmusi ją do poślubienia markiza. Wiedziała, że on nie rzuca słów na wiatr.

Kiedy zeszłej nocy uciekła z domu przy Grosvenor Square, wiedziała, że żadne prośby ani lamentsy nie powstrzymałyby jej stryja przed wydaniem jej za Forstratha. On chciał tylko pieniędzy. Chciał się jej pozbyć. Nieraz groził, że zbije ją do utraty przytomności, jeśli jeszcze będzie mu się sprzeciwiać. Kiedy wsiadała do powozu markiza, nie przewidziała, że jej stryj nie tylko odnajdzie ją, ale wykorzysta tę sytuację, by wyłudzić od markiza pieniądze, których tak bardzo potrzebował. Jednocześnie mógł się zemścić na tym młodym dżentelmenie.

Powoli, bardzo powoli, mając nadzieję, że nikt jej nie zauważy, posuwała się w stronę drzwi. Kiedy już dochodziła do nich, Israel Jacobs zastąpił jej drogę. Nie musiał nic mówić. Stał tylko. Bezsilna Cara westchnęła głęboko. Wiedziała, że przegrała.

Z drugiej strony pokoju doszedł ją głos markiza.

- Porozmawiajmy rozsądnie, Matlock. Dam panu pieniądze, ale jak pan dobrze wie, nie porwałem pańskiej

siostrzenicy i nie ma żadnego powodu, abym się z nią żenił. Ostatniej nocy była pod opieką mojej służącej, bardzo szacownej kobiety.

- Żaden urząd, sąd ani sędzia nie zgodzi się z twierdzeniem, że płatna sługa jest wystarczającą przyzwoitką dla młodej, niewinnej dziewczyny, która spędziła noc ze szlachetnym markizem Broome! - szydził hrabia. Celowo drażnił markiza. - Dobrze się pan bawił, Broome, a teraz niech pan będzie dżentelmenem i zapłaci za to!

Ostatnim wysiłkiem woli markiz powstrzymał się przed uderzeniem hrabiego.

- Dam panu piętnaście tysięcy funtów - powiedział.

Hrabia tylko się roześmiał.

- Jest pan bardzo bogatym człowiekiem, Broome.

Bardziej mi się opłaci, jeśli będę z panem spowinowacony. Mam nadzieję, że w przyszłości będzie to więcej warte niż pieniądze.

To, co hrabia mówił, było rzeczywiście prawdą. Markiz wiedział, że na pewno wykorzysta on maksymalnie owe niespodziewane związki rodzinne. Doprowadzało go do szału, że ten typ śmie jeszcze żądać od niego tak wielkiej sumy pieniędzy.

Hrabia zmitygował się, jakby wyczuł, że posunął się za daleko.

- Może byśmy się zajęli interesem, z jakim tutaj przyszedłem? Przypuszczam, że nie trzyma pan książeczki czekowej w tym salonie. Przejdźmy może do pańskiego gabinetu, jeśli tam ją pan przechowuje.

Fakt, iż hrabia zaczął wydawać markizowi polecenia w jego własnym domu, stanowił zniewagę trudną do zniesienia. Markiz jednak opanował się i bez słowa otworzył drzwi.

Stała przy nich Cara. Rzucił na nią przelotne spojrzenie i zatrzymał się oczekując, że pójdzie pierwsza. Markiz poszedł

za nią. Na końcu szedł zachwycony swoim sukcesem hrabia wraz z kompanami.

Cara nie знаła drogi. Poczekała, aż markiz zrówna się z nią, i dała mu znak, aby prowadził do gabinetu. Drzwi otworzył im stojący przy nich służący.

Weszli do dużego, komfortowego pokoju. Na ścianach wisiały obrazy Stubbsa, krzesła były obite skórą, a na wielkim biurku stał złoty kałamarz i bibularz ozdobiony herbem markiza.

Markiz podszedł do rzeźbionego krzesła z wysokim oparciem. Cara ciągle jeszcze rozważała szanse ucieczki. Doszła do wniosku, że mając za plecami stryja i jego dwóch pacholków nie zdoła uciec. Czuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa, i usiadła na dywaniku na podłodze. Odwróciła się plecami do pokoju i wyciągnęła ręce do ognia. Nie wiedziała, iż krew płynąca z ran zadanych jej pejczem, zaczęła sączyć się przez cienką suknię.

Markiz podniósł wzrok znad biurka. Ujrzał swoich wrogów, zaciął z wściekłości usta i otworzył szufladę. Kiedy zaczął wypisywać czek, hrabia spostrzegł w kącie gabinetu stół z tacą, na której znajdowały się różne karafki. Nie pytając markiza o zgodę, podszedł do stolika i nalał koniaku sobie i swoim kompanom. Chętnie wzięli od niego kieliszki. Hrabia uniósł swój w górę mówiąc:

- Piję, markizie, za pańskie szczęście.

Markiz nawet na niego nie spojrzał, a hrabia szydził dalej:

- Przekona się pan, że Cara jest bardzo krnąbrna. Myślę, że najlepszym prezentem ślubnym, jaki mogę panu ofiarować, jest pejcz. Nim właśnie nauczyłem ją posłuszeństwa. Będzie pan go w przyszłości potrzebował.

Podszedł do markiza i rzucił mu na biurko swój pejcz.

Markiz zignorował jego uwagi i zachowanie. Podpisał tylko czek i wstał, zostawiając go na biurku.

Hrabia rzucił się do przodu, chcąc mieć już czek w swoich rękach. Przyjrzał mu się dokładnie, sprawdzając, czy markiz go nie oszukał.

- Jestem zadowolony. A może teraz, Broome, zaprowadzi nas pan do swojej kaplicy. Mam nadzieję, że taki bogoboyny człowiek jak pan ma swoją kaplicę? Znowu zaczął szydzić. Markiz spojrział na Care, która słysząc słowa stryja, odwróciła twarz od kominka. Zrozumiała, że wszyscy czekają tylko na nią. Wstała z podłogi.

Była teraz jeszcze bledsza, niż kiedy wychodziła z jadalni. Ślad po ciosie hrabiego zrobił się jaskrawy jak czerwona flaga.

Przeszła z wysoko uniesioną głową tuż obok swojego stryja. Kiedy markiz otworzył przed nią drzwi, wpadła niespodziewanie na pewien pomysł. Wyszła pierwsza z gabinetu, odwróciła się, zatrzasnęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku. Uniosła palcami suknię i zaczęła biec, jak tylko mogła najszybciej, przez hol do frontowych drzwi.

Tak jak przewidywała, przed domem stały trzy konie, na których przyjechał jej wuj ze swoimi współnikami. Stajenni trzymali je za uzdy.

Cara popędziła po schodach na dół i wskoczyła na pierwszego konia z brzegu. Siedziała teraz na nim okrakiem, tak jak to robią mężczyźni. Wyrwała stajennemu wodze z dłoni, zanim ten zrozumiał, co się dzieje.

Służący patrzyli, jak odjeżdża galopem sprzed domu i pędzi w stronę przerzuconego przez jezioro mostu.

Nie zdołała ujechać zbyt daleko, kiedy zrozumiała, że jej koń jest bardzo zmęczony po długiej i bez wątplenia wyczerpującej drodze z Londynu. Domyśliła się, że jej stryj nie podróżował traktem, ale jechał krótszą drogą, polami. Widocznie bał się, że Cara może opuścić posiadłość w

Broome przed jego przyjazdem. Dlatego też jechał jak tylko mógł najszybciej i bardzo zmęczył swego wierzchowca.

Cara nie miała ani pejsza, ani ostróg. Mimo że wbijała obcasy butów w boki konia, zrozumiała, że zwierzę nie jest w stanie jechać szybciej niż stępa.'

Obejrzała się parę razy za siebie. Kiedy dojechała do głównej bramy posiadłości, spostrzegła, że ścigają ją dwaj jeźdźcy. Bez trudu zgadła, że hrabia zmusił markiza, by zadzwonił na służbę lub może zrobił to sam. Służący odpowiedział na wezwanie i otworzył drzwi.

Za bramą biegła droga. Cara wiedziała, że Londyn znajduje się z prawej strony, postanowiła więc jechać w lewo.

Jechała małą ścieżką wijącą się wzdłuż wysokiego muru z cegły, ogradzającego posiadłość markiza. Starła się zmusić swego wierzchowca do szybszej jazdy, ale wiedziała, że jej wysiłki nie dają żadnych rezultatów.

Bała się swoich prześladowców. Kiedy więc ujrzała otwartą furtkę prowadzącą na pole, pośrodku którego rósł mały zagajnik, bez namysłu w nią skręciła.

Miała nadzieję, że będzie się mogła tam ukryć. Kiedy jednak dotarła do lasu i obejrzała się za siebie, zobaczyła, że drogą, którą właśnie przyjechała, pędzi jakiś jeździec. Serce ścisnęło się w niej; wiedziała, że to jej stryj. Zrozumiała, że dwaj jeźdźcy rozdzielili się przy furtce i stryj skręcił na pole.

Ponieważ żywopłoty były o tej porze pozbawione liści, Cara zdawała sobie doskonale sprawę, że kiedy wjeżdżała do lasu, stryj ją zauważył. Zrozumiała, że jej ucieczka nie powiodła się. Pomyślała sobie, że powinna zawrócić i z godnością podjechać do niego.

Hrabia był czerwony z wysiłku. Spotkali się na środku pola.

- Niech to wszyscy diabli! - wrzeszczał. - Co ty, u diabła, wyprawiasz?!

- Chcę od ciebie uciec, stryju - odpowiedziała Cara odważnie. W jej głosie brzmiała rozpacz i żal, iż ucieczka się nie powiodła.

- Pojedziesz ze mną! - rozkazał hrabia. - Jeśli markiz w tym czasie uciekł, to tak cię zbije, że będziesz żałować, iż w ogóle się urodziłaś!

- Żałuję tego bardzo często od chwili, kiedy ciebie spotkałam - odparła dziewczyna.

Hrabia zawrócił konia. Przejechali przez bramę. Dziewczynie nie pozostało nic innego jak jechać za swoim prześladowcą. Kiedy dojechali do drogi, hrabia powiedział:

- Gdybyś nie miała takiego ptasiego mózdzku, zauważyłabyś, że małżeństwo z markizem Broome to dla ciebie najlepsze rozwiązanie. Twoja pozycja społeczna będzie równa pozycji każdej kobiety, z wyjątkiem oczywiście członków rodziny królewskiej.

- Byłabym również żoną człowieka, który mnie nienawidzi i mną pogardza dlatego, że jestem twoją siostrzenicą!

Hrabia nie rozgniewał się, ale zaśmiał się głośno.

- Ale jednak go pokonałem! - powiedział tonem pełnym zadowolenia. Cara nie odezwała się, a hrabia ciągnął dalej: - Szydził ze mnie, poniżał mnie. Przez ostatnie pięć lat dopiekl mi do żywego! Teraz ja jestem górą, a ten wszechwładny pan nareszcie czuje gorzyc porażki.

- Masz pieniądze, o które ci chodziło - przerwała mu Clara. - Pozwól mi odjechać, stryju. Powiesz, że nie udało ci się mnie odnaleźć i nie masz pojęcia, dokąd pojechałam. Zniknę i nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

- Nie mam zamiaru się z tobą kłócić - odrzekł hrabia. - Wyjdiesz za markiza i na kolanach dziękuj za to Bogu, jeśli On w ogóle istnieje. Żaden opiekun nie może zrobić więcej dla podopiecznej, która zawsze sprawiała tyle kłopotów.

- Nie robisz tego dla mnie - zauważyła Cara. - Zawsze nienawidziłeś mego ojca, zazdrościłeś mu i dlatego tak mnie nienawidzisz. Dziękuję Bogu jedynie za to, że nie będę musiała dłużej mieszkać z tobą!

Hrabia zaśmiał się bardzo nieprzyjemnie.

- A więc jeszcze masz w sobie tyle energii? - spytał. - Myślałem, że wybiłem ci już to z głowy. Szkoda, że nie wychodzisz za Mortimera Forstratha. On by się z tobą nie cackał.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Widziała przed sobą w oddali dom. Wiedziała, że stryj ma rację mówiąc, że jej życie z markizem będzie o wiele lepsze niż małżeństwo z Forstrathem.

Poczuła się nagle słaba i bardzo zmęczona, nie tylko dlatego, że przegrała swą walkę ze stryjem, ale dlatego, że rany na plecach bolały ją niemiłosiernie.

Jechała przodem, żeby nie słyszeć szyderstw hrabiego. Bała się, że spadnie z konia, więc próbowała myśleć tylko o tym, żeby trzymać się mocno siodła. Jakimś cudem udało się jej dojechać do domu.

Kiedy służący podszedł do koni, przełożyła nogę przez łęk siodła i zeskoczyła na ziemię. Wiedziała, że musi jeszcze wejść na schody. Nagle poczuła, że ciemność spod jej nóg pochłania ją.

Cara odzyskała przytomność i stwierdziła, że siedzi w rzeźbionej, drewnianej ławce w prywatnej kaplicy markiza.

Ktoś przykładął jej do czoła chusteczkę skropioną wodą kolońską. Jakaś inna dłoń przysuwała do jej ust kieliszek koniaku. Kiedy próbowała odsunąć te ręce, usłyszała głos markiza:

- Proszę to wypić. Poczuj się pani lepiej.

Cara nie miała już siły, żeby się buntować. Wypiła mały łyk koniaku i poczuła, jak ognisty płyn spływa jej do żołądka.

Poczuła się trochę lepiej. Otaczająca ją ciemność nieco ustąpiła.

Markiz znowu przysunął kieliszek do jej ust. Chciał, żeby się jeszcze napiła. Uczyniła to. Ciemności ustąpiły i wiedziała już, gdzie się znajduje i co się z nią stało.

- Już czuje się dobrze - usłyszała czyjś głos. Ktoś zdjął jej chusteczkę z czoła. Podniosła wzrok i zobaczyła, że tuż obok niej stoi markiz.

Jego oczy niczego nie wyrażały, ale z jego zaciśniętych warg mogła wnioskować, że jest bardzo rozgniewany. Pomyślała sobie, że to nie jej wina.

- Chce pani jeszcze? - spytał. Mimo że mówił obojętnym tonem, zdawało się, że trochę jej współczuje.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie - nie... dziękuję... panu.

- W takim razie przystępujemy do ceremonii! - usłyszała głos stryja.

Odwróciła głowę. Zobaczyła, że stoi oparty o ławkę. Na stopniach ołtarza stał pastor, którego z sobą przywiózł. Trzymał w dłoniach Biblię. Miał na sobie zakurzone buty do konnej jazdy, a jedynym dowodem jego świętego urzędu był biały kołnierzyk na szyi. Wyglądał bardzo nieodpowiednio.

Niemniej jednak Cara była przekonana, że jej wuj dokładnie sprawdził, czy ten pastor miał niezbędne święcenia. Zrobił wszystko, żeby ta msza i - co ważniejsze - zawarty podczas niej związek małżeński był całkowicie legalny i wiążący.

Zrozumiała teraz, że nic jej się nie udało i że nie ma już ratunku, mimo że małżeństwo w takich warunkach było farsą i gwałtem na sakramencie Kościoła. Nie mogła jednak nic zrobić.

Markiz nie patrzył na nią. Stał w pobliżu i czekał, żeby do niego podeszła.

Instynktownie spojrzała na drzwi kaplicy. Spostrzegła, że stał w nich Israel Jacobs. Uważnie ją obserwował. Cara czuła, że kpi z jej bezsilności.

Matlock podszedł i wyciągnął do niej rękę. Nie mogła ścierpieć dotyku jego dłoni. Oparła się o ławkę i sama spróbowała wstać. Kiedy poruszała się, zaschnięte rany na plecach sprawiały jej nieopisane cierpienie. Największym wysiłkiem opanowała okrzyk bólu.

Nie chciała wystawiać się na pośmiewisko. Nie pozostało jej już nic oprócz dumy. Pomimo bólu uniosła więc dłoń i poprawiła sobie włosy. Potem, nie spoglądając na swego stryja, przeszła obok ławek i stanęła koło markiza.

Markiz nie patrzył na nią, kiedy pastor zaczął uroczystość i czytał powoli z trzymanego w dłoniach modlitewnika:

- Ja, Ivo Aleksander Maksymilian; biorę ciebie, Caro Matyldo, za żonę.

Cara słyszała, jak markiz powtarza te słowa cichym głosem bez wyrazu. Wydawało się jej, że śni. Potem, jak przez sen, usłyszała słowa:

- Ja, Caro Matylda, biorę ciebie...

Powtarzając te słowa, wiedziała, że nie tylko traci swoją wolność, ale traci też marzenia. Mimo że przysięgała sobie, że nigdy nie wyjdzie za mąż, nawet wtedy, gdzieś głęboko w duszy, wiedziała, że spotka kiedyś mężczyznę innego od tych wszystkich, których знаła.

Wtedy wydawało się to jej niemożliwe. Nienawidziła swego stryja, a potem znienawidziła tego potwora, który miał być jej mężem. Następnie opanowała ją straszna pewność, że wszyscy mężczyźni są podli i wstrętni. Przypominają raczej dzikie zwierzęta, które ją ścigają, więc musi przed nimi uciekać.

Okrucieństwo jej stryja, nienawiść, jaką do niego czuła, i przerażenie, jakiego doświadczyła spotykając Sir Mortimera

Forstratha, sprawiły, że postanowiła, iż nigdy, przenigdy nie zostanie własnością żadnego mężczyzny! Zawsze pozostanie wolna, chyba że zdarzy się jakiś cud i znajdzie człowieka, któremu zaufa i którego pokocha. Było to jednak mało prawdopodobne.

Teraz, w chwili, kiedy najmniej się tego spodziewała, kiedy już jej się wydawało, że zdołała się wydostać z matni, schwytano ją i przykuwano do markiza na resztę życia.

- Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza!

Kiedy pastor wymawiał te słowa, zdawało się jej, że słyszy wyrok na siebie.

Wiedziała jednak, że będzie musiała uciec od markiza. Nie wiedziała jeszcze tylko, jak to zrobi.

ROZDZIAŁ 4

Markiz stał przy drzwiach i patrzył, jak hrabia i jego kompani znikają za rosnącymi w pobliżu dębami. Tylko długie lata, w czasie których nauczył się panować nad swoimi uczuciami, sprawiły, że w ostatniej chwili powstrzymał się, by nie uderzyć hrabiego w twarz i zetrzeć z jego twarzy ten pełen szyderstwa i tryumfu uśmiech.

Kiedy wyszli z kaplicy, hrabia powiedział swoim szyderczym głosem:

- Przypuszczam, Broome, że nie będziesz aż tak gościnny, żeby zaprosić nas na kieliszek szampana z tej wyjątkowej okazji?

Markiz nie odpowiedział. Odsunął się od dziewczyny zaraz po ceremonii ślubu i pierwszy wyszedł z kaplicy.

W holu również się nie odezwał. Stał tylko i patrzył na hrabiego w sposób, który nie pozostawiał cienia wątpliwości: chciał, żeby hrabia jak najszybciej opuścił jego dom. Patrząc w twarz swego wroga, markiz domyślił się, że ten zastanawia się, czy dalej go prowokować, czy też natychmiast opuścić ten dom w milczeniu.

W końcu wybrał to ostatnie rozwiązanie. Wyszedł przed dom, zszedł po schodach i dosiadł swego konia. Zachowywał się bardzo prowokująco.

Pastor i adwokat również wsiedli na konie i odjechali. Markiz patrzył na nich z taką nienawiścią, że każdy zwykły człowiek niewątpliwie by się przeraził.

Po raz ostatni rzucił okiem na znikających w oddali jeźdźców. Odwrócił się i zawołał do jednego ze swoich stajennych trzymających konie.

- Ben!

- Tak, milordzie?

- Osiodłaj Jowisza i natychmiast go tutaj przyprowadź!

- Tak, milordzie.

Markiz wiedział, że nie może spojrzeć dziewczynie w twarz, i dlatego nie chciał wracać do domu. Poszedł więc wysypaną żwirem ścieżką i przez duży trawnik nad jezioro.

Cienka warstwa lodu zdążyła już popękać, a na samym środku wody pływały kaczki i łabędzie. Przez ciemne chmury zaczynało wyglądać blade słońce i rzucało na ptaki złotawe światło.

Markiz nie dostrzegał tego pięknego widoku. Myślał tylko o upokorzeniu, które go spotkało ze strony wroga.

Pomyślał sobie, że po raz pierwszy pokonano go w walce, w której nie miał żadnych szans. Wszystko zdarzyło się tak szybko. Nie mógł uwierzyć, że ostatnie wydarzenia nie są tylko wytworem jego wyobraźni.

A mimo to stało się niezaprzeczalnym faktem, że jest teraz żonaty i to z kobietą, którą zeszłej nocy widział w całkiem niezwykłych okolicznościach po raz pierwszy w życiu.

Słowa huczały mu w głowie. Przez moment nie mógł odpowiedzieć sobie na pytanie, jak postąpić w sytuacji, której nie mógł przewidzieć. To wszystko okazało się całkowicie sprzeczne z jego planami na przyszłość.

Stał i wpatrywał się w jezioro. Nagle usłyszał za sobą tętent końskich kopyt i dźwięczenie uprzęży. Odwrócił się i ujrzał, że podjeżdża do niego jeden z jego najpiękniejszych koni.

Rumak był wypoczęty. Markiz doskonale wiedział, że tylko duży wysiłek może zmniejszyć rozpierającą zwierzę energię. Wskoczył w siodło i bez słowa ruszył z kopyta. Pojechał przez park tam, gdzie będą szaleć tak długo, aż zarówno koń, jak i jeździec całkiem się zmęczą.

Cara widziała odjeżdżającego sprzed domu stryja. Powoli poszła po schodach na górę. Z każdym krokiem czuła coraz większy ból pleców. Ból był tak dotkliwy; że nie mogła nawet

pomyśleć o swoim małżeństwie z markizem i o konsekwencjach tego wydarzenia.

Chciała tylko zostać sama i położyć się.

Z wielkim trudem doszła do sypialni. Była zbyt wyczerpana przejściami dzisiejszego dnia, żeby myśleć o czymkolwiek.

Dowlokła się do łóżka. Położyła się bardzo ostrożnie, żeby nie urazić pociętych pejczem pleców. Zamknęła oczy mając nadzieję, że straci przytomność...

Po kilku godzinach Cara przebudziła się ze snu, który był na poły omdleniem. Nie chciała jednak stawić czoła rzeczywistości i wkrótce zapadła w jakąś dziwną śpiączkę.

Obróciła się na bok i ujrzała, że krew płynąca z rany pobrudziła poduszkę. Jej płacz przywołał do pokoju służącą.

- Pani już nie śpi, milady?

- Chyba... nie...

- Czy ma pani dość sił, żeby przejść do drugiego pokoju? Wszystko już tam dla pani przygotowałam. Myślę, że powinnam przyłożyć pani jakiś balsam na plecy. Wtedy będzie pani mogła położyć się do łóżka.

Cara nie miała sił opierać się poleceniom służącej. Pozwoliła się wyprowadzić z pokoju i zaprowadzić do południowego skrzydła pałacu.

Była zbyt zmęczona, żeby myśleć o czymkolwiek. Dopiero później zdała sobie sprawę, że położono ją w sypialni, którą zawsze zajmowały kochanki markiza. Ostatnio mieszkała tam jego matka.

Kiedy po raz pierwszy weszła do środka, odczuwała tylko ból i niezwykle zmęczenie. Czowała się jak małe, zranione zwierzątko, które chce zaszyć się w najciemniejszą norę i uciec od swego prześladowcy.

Kiedy służąca zdejmowała z niej suknię, Cara odczuwała wielki ból. Maść nakładana na rany przez panią Peel

przyniosła jej jednak ulgę. Następnie służąca przykryła ranę kawałkiem miękkiego płótna.

Cara dostała również coś ciepłego do picia. Wydawało się jej, że był to miód z mlekiem. Nie miała sił zapytać o to służącą.

Następnie pani Peel, prawie ją niosąc, zaprowadziła dziewczynę do dużego łóżka, które zdobiły w rogach masywne, drewniane kolumny pokryte rzeźbami i złoceniami. Wspierały one baldachim z powyszywanymi na nim amorkami tańczącymi wśród liści i kwiatów.

Cara nie zwracała jednak na to większej uwagi. Myślała tylko o tym, żeby przyłożyć głowę do poduszki i zamknąć oczy.

Zasunięto zasłony na trzech dużych oknach. Została sama. Nie chciała o niczym myśleć, marzyła tylko o śnie.

Markiz wrócił dopiero późnym popołudniem. Wszedł do domu głównymi drzwiami. Kamerdyner, który odebrał od niego kapelusz, rękawiczki i pejcz, zauważył, że markiz jest bardzo zmęczony i że wygląda o wiele starzej niż dzisiaj rano.

Poranne wydarzenia zelektryzowały służbę. Widzieli przecież, że ich pan poszedł do kaplicy z tym dziwnym pastorem i młodą dziewczyną, która całkiem niespodziewanie przybyła do ich domu dzisiaj w nocy.

Chociaż pani Peel była wyjątkowo dyskretna, panny służące nie mogły powstrzymać się od uwag o tym, że młoda pani nosi bardzo krótko obcięte włosy i że pod futrem markiza widziały ubranie ucznia szkoły w Eton.

Spekulacje o tym, kim mogła być ta młoda dama i dlaczego przyjechała do Broome tak niespodziewanie, stanowiły jedyny temat rozmów całej służby, poczynając od chłopca do czyszczenia noży aż do najstarszej pokojówki.

- Z Londynu przyjechał jakiś dżentelmen. Chce się widzieć z panem, milordzie. Wprowadziłem go do pańskiego gabinetu - poinformował kamerdyner.

- Z Londynu? - zdziwił się markiz.

Przez chwilę wydawało mu się, że mógł to być Henry Hansketh. Zaraz jednak stwierdził, że Hansketh nie mógłby tak szybko przyjechać.

Z początku chciał odpowiedzieć, że nie chce się z nikim widzieć, ale dobre maniery nie pozwoliły mu nie przyjąć kogoś, kto przyjechał do niego aż z Londynu.

Poszedł do gabinetu mając nadzieję, że ten niespodziewany gość nie zajmie mu dużo czasu. Chciał się wykapać i zjeść coś po przejażdżce.

Lokaj otworzył przed nim drzwi. Kiedy wszedł do środka, spostrzegł ku swemu zdziwieniu, że ów dżentelmen, który nie podał kamerdynerowi swego nazwiska, jest królewskim dworzaninem.

- Dzień dobry, Bingham - przywitał gościa markiz. - Przepraszam, że kazałem ci czekać tak długo. Nie spodziewałem się jednak twojej wizyty.

- Uważałem, że powinienem zawiadomić pana osobiście, milordzie - odparł pan Bingham. - Jego Królewska Mość zmarł dzisiaj o ósmej trzydzieści dwie wieczorem.

- Król nie żyje! - wykrzyknął markiz.

Był to dla niego szok, mimo iż wszyscy od dawna się tego spodziewali. Po pewnym czasie jednak zarówno regent, markiz, jak i wielu innych członków dworu, zaczęli myśleć, że król nigdy nie umrze.

- Tak, król nie żyje - potwierdził Bingham. - Ponieważ jednak właśnie dzisiaj jest rocznica egzekucji Karola I, więc uroczysta proklamacja nowego króla odbędzie się dopiero w poniedziałek.

- I oczywiście regent oczekuje, że będę na niej obecny - rzekł markiz jakby do samego siebie.

- Dlatego właśnie przybyłem tak szybko, milordzie.

- Dziękuję ci, Bingham - powiedział markiz. - Pozwolisz, że poczęstuję cię kieliszkiem wina. A może wolisz koniak?

- Wino, jeśli łaska, milordzie.

- Oczywiście przenocujesz u mnie - ciągnął markiz. - Jutro rano razem wyruszymy do Londynu.

- Im wcześniej, tym lepiej, milordzie. Jego Królewska Mość przyjął wiadomość z wielkim bólem. Jest pan jedyną osobą, którą pragnie mieć przy sobie.

Markiz przyjął komplement z cokolwiek kwaśną miną. Dobrze wiedział, jak bardzo rozhisteryzowany może być nowy król. Przez całe swoje życie przesadzał i dramatyzował w każdej sytuacji od chwili, kiedy skończył dwadzieścia lat. Właśnie wtedy próbował pchnąć się nożem, tak bardzo pragnął, żeby lady Fitzherbert wyszła za niego: Od tej pory przy każdej okazji miewał ataki hysterii i wylewał potoki łez.

Markiz nalał Binghamowi kieliszek szampana z butelki spoczywającej w srebrnym wiaderku. Pomyślał sobie jednocześnie, że królewska histeria to ostatnia rzecz na świecie, którą chciałby teraz przeżyć. Przypomniawszy sobie własne kłopoty.

Jeśli pojedzie do Londynu, to czy powinien zabrać Carę ze sobą? Jak powinien zawiadomić swoich znajomych o tym małżeństwie?

Markiz za nic w świecie nie chciał wywoływać skandalu. Nie mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób przedstawi fakt, że ma żonę, której jak dotąd nikt nie znał i nigdy nie widział.

Wiedział, że ta wiadomość zaskoczy wszystkich tak bardzo, jak wiadomość o śmierci króla.

Myśli przebiegały mu po głowie, po chwili jednak uspokoił się. Podał Binghamowi kieliszek. Nalał też szampana dla siebie.

Podniósł kieliszek. Zauważył, że jego gość nie pije, tylko patrzy na niego w jakiś dziwny sposób, jakby czekał, by markiz coś powiedział. Markiz natychmiast zrozumiał, o co chodzi.

- Za króla! Niech go Bóg błogosławi!

- Za króla! - powtórzył Bingham i łąpczywie wypił szampana.

Po chwili markiz, poleciwszy lokajowi zaprowadzić pana Bingham do jego pokoju, poszedł na górę i skierował się do swego pokoju w południowym skrzydle pałacu. Wiedział, że jego pokojowy przygotował już ciepłą kąpiel.

Podczas kąpieli chciał przemyśleć swój nowy problem, który sprawił, że jego dalszy pobyt w majątku na wsi stawał się niemożliwy. Dochodził już do swego pokoju, kiedy pojawiła się przed nim pani Peel. Natychmiast domyślił się, że jego żonę przeniesiono bez jego wiedzy do pokoju mieszczącego się obok jego sypialni. Oznaczało to, że służba wiedziała już o zawartym małżeństwie i że traktują Carę jak jego prawowitą żonę. W przyszłości będzie ona sypiać zgodnie z tradycją w sypialni markizy.

Przez chwilę ogarnęła go złość, że nie zapytali go o zdanie i wyprzedzili jego decyzję. Co gorsza, umieścili dziewczynę w pokoju, którego nie używano od śmierci jego matki.

Gdyby nie opanował się w tym momencie, byłby umieścił Carę na poddaszu lub gdziekolwiek, byle dalej od siebie. Kiedy jednak pani Peel ukloniła się przed nim, opanował się i wysłuchał tego, co miała do powiedzenia.

- Pani czuje się trochę lepiej, milordzie. Początkowo chciałam pana prosić, by posłał pan po lekarza, ale teraz wydaje mi się, że to już niepotrzebne.

Markiz cały zeszywniał. Doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby jakikolwiek miejscowy lekarz zbadał dziewczynę, nie mógłby przed nikim ukryć, że nową markizę Broome wychłostano pejcem aż do krwi. Ludzkie języki rozniosłyby tę historię po całym hrabstwie.

- Nie życzę sobie, pani Peel - powiedział najbardziej stanowczym tonem, na jaki mógł się zdobyć - żeby ktokolwiek dowiedział się o ranach markizy. Mam nadzieję, że dopilnuje pani, aby nikt nie rozmawiał o tym ani w naszym domu, ani poza nim.

- Postaram się, milordzie - odparła pani Peel. Znowu złożyła głęboki ukłon. Markiz minął ją i wszedł do swojego pokoju, zamykając drzwi w taki sposób, jak gdyby chciał je za sobą zatrzaskać.

Pani Peel westchnęła i zeszła po schodach na dół.

Markiz na pewno zdziwiłby się, gdyby wiedział, jak bardzo się zmartwiła wieścią o jego niezwykłym i nieoczekiwanym małżeństwie z tak młodą damą. Potraktowano ją w straszny sposób. Nie reprezentowała ona typu kobiety, która, jak to pani Peel oczekiwała, powinna zostać żoną markiza.

- Krótkie włosy i spodnie! - mruzczała do siebie oburzona.
- Do czego to doszło?!

Markiz i pan Bingham zjedli razem kolację. Rozmawiali o tym, co może się wydarzyć teraz, kiedy po tylu latach oczekiwania regent zasiądzie na tronie.

- Mam nadzieję, Bingham - powiedział markiz - że Jego Królewska Mość, w odróżnieniu od premiera i jego gabinetu, posłucha moich rad dotyczących konieczności wprowadzenia reform, zanim będzie na to za późno.

Pan Bingham pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Na północy sprawy mają się coraz gorzej, milordzie - odparł. - Na nieszczęście wszystkim, którzy są u władzy,

wydaje się, że jeśli będą ignorować istnienie problemów, to groźby same znikną.

Markiz zacisnął mocniej usta. Wiedział, że rozporządzenia znane jako „Sześć Praw”, przy pomocy których rząd chciał powstrzymać działalność elementów rewolucyjnych, pogorszyły tylko sytuację.

Pomyślał sobie także, że listy takie jak ten, który otrzymał od księcia Cambridge'a, który pisał, że „tylko i wyłącznie stanowczość” może zdławić „odrażającego ducha rewolucji panującego w Anglii”, to tylko czcze pogrożki.

Przeprowadził z księciem regentem bardzo poważną rozmowę. Powiedział mu, co należy zrobić. Ponadto Jego Książęca Wysokość sam osobiście przekonał się o tej potrzebie, kiedy usłyszał krzyki i gwizd niezliczonych tłumów zgromadzonych przed bramą pałacu.

Lady Hertford, ostatnią miłość regenta, tłum przewrócił na ziemię i dopiero strażnicy miejscy zdołali ją uratować.

- Potrzebujemy - powiedział głośno - tańszej żywności, wyższych płac i kogoś, kto potrafi przekonać robotników, że rozumie ich problemy.

- Jestem pewien, że jego Królewska Mość będzie doskonale orientował się we wszystkich problemach, jeśli pan mu je wyjaśni, milordzie - powiedział Bingham.

Markiz doskonale wiedział, że nowy monarcha, zaprzątnięty swymi własnymi kłopotami, z których najważniejszy to zachowanie jego żony, księżnej Karoliny, nie będzie chciał w ogóle rozmawiać o tych sprawach.

Im bardziej rozmyślał o nieszczęśliwym małżeństwie króla, tym bardziej martwił się leżącą na górze Carą.

Od czasu swego przyjazdu z Brunszwiku w sierpniu 1814 roku Karolina dostarczała Europie coraz to nowych skandali.

Ubrała swoją służbę w nowe, haftowane liberie i kapelusze z piórami.

W Baden w swojej teatralnej łoży zaczęła tańczyć, krzyżeć i śpiewać. Miała na głowie dziwaczny, wiejski kapelusze ozdobyony świecami i wstążkami.

W Genui zjawiła się na balu przebrana za Wenus, to znaczy obnażona do pasa. Jeździła ulicami w błyszczącym macicą perłową powozie, ubrana jak mała dziewczynka, w białe - różową suknię, i pokazywała wszystkim swoje podstarzałe piersi i grube nogi w butach o różowych cholewach.

Mówiono, że w Neapolu w czasie balu zachowała się w bardzo nieprzyzwoity sposób, pojawiając się z obnażonymi piersiami i ramionami.

W Atenach zaś zjawiła się prawie całkiem naga i tańczyła ze swymi służącymi.

Przez głowę markiza przepływały wszystkie te zasłyszane historie. Z przerażeniem zrozumiał, że znalazł się w podobnej sytuacji i że cierpi teraz z powodu swojej żony. Bał się, że będą mówić o nim tak, jak mówiła lady Bessborough:

- Widziałam księżną na balu i muszę powiedzieć, że jako Angielka byłam bardzo zawstydzona.

Markiz nigdy nikomu o tym nie mówił, ale szczycił się swoim pochodzeniem i dziedzictwem.

Jego przodkowie przeszli do historii Anglii. Bromleyowie, bo tak brzmiało jego rodowe nazwisko, odgrywali bardzo ważną rolę nie tylko na dworze, ale także w czasie bitew zarówno na lądzie, jak i na morzu.

Zawsze bardzo się starał, żeby nie splamić swego herbu, który wyrzeźbiono na frontowych drzwiach pałacu Broome. Zdobił on także drzwi jego powozów w Londynie.

Powiedział sobie, że musi opanować narastający w nim gniew. Nawet jeśli Cara zjawiła się w nieodpowiednim stroju i mimo że miała krótko obcięte włosy, była tylko dzieckiem w

porównaniu z pulchniutką, zbyt śmiałą i pewną siebie księżną Karoliną.

Myśl, że nie potrafi zapanować w przyszłości nad osiemnastoletnią dziewczyną i sprawić, by zachowywała się odpowiednio, wydała mu się śmieszna.

Mimo wszystko, uspokajał sam siebie, dowodziłem przecież sporym oddziałem żołnierzy.

Miał jednak to nieprzyjemne przeczucie, że z kobietą, bez względu na jej wiek, może być więcej kłopotów niż z całym batalionem żołnierzy, którzy przecież byli przyzwyczajeni do wykonywania rozkazów.

Rozmawiał jeszcze przez chwilę z Binghamem. W końcu dworzanin udał się do swojej sypialni, tłumacząc, że chciałby się już położyć, gdyż wiedział, iż czeka na niego jutro w Londynie mnóstwo spraw. Markiz postanowił zawiadomić Carę o tych nagłych, ale nieuniknionych zmianach planów.

Przypuszczał, że Cara nie będzie się czuła wystarczająco dobrze, żeby jutro podróżować, nie chciał jednak zostawiać jej samej w domu w Broome.

Mimo że mogła w Londynie powstać bardzo niezręczna sytuacja, miał przeczucie, że Cara powinna mu towarzyszyć.

- Ona jest moją żoną - powiedział do siebie. - Im szybciej wyjaśnię sprawę, tym lepiej.

Pożegnał się z Binghamem i poszedł korytarzem do swego pokoju. Spojrzał na duży, stojący w holu zegar. Ponieważ nie było jeszcze dziesiątej, doszedł do wniosku, że nie jest zbyt późno, by zająć do Cary.

Jedna rzecz okazała się niespodziewanym błogosławieństwem. Skoro nie będzie proklamacji nowego króla aż do poniedziałku, popełniłby błąd, gdyby ogłosił swoje małżeństwo zaraz po uroczystości. Mógł równie dobrze zrobić to w kilka dni później.

Zadecyduję dopiero w Londynie, kiedy zobaczą dokładnie, co tam się dzieje, pomyślał markiz.

Doszedł do drzwi pokoju Cary i zawahał się.

Postanowił, że będzie o wiele lepiej i naturalniej, jeśli wejdzie do niej przez drzwi łączące za pośrednictwem buduaru ich sąsiadujące ze sobą pokoje.

Był to pokój, w którym jego matka spędziła wiele lat swego życia. Był bardzo kobiecy i wyposażono go we wszystkie rzeczy, które ostatnia markiza Broome szczególnie ceniła: obrazy swego syna i córek, kiedy byli jeszcze dziećmi, portret jej męża na ścianie i kilka zachwycających obrazów malarzy francuskich. Markiz uważał, że jego matka miała tak dobry smak artystyczny jak on sam.

Po wyjściu ze swojej sypialni polecił lokajowi, aby natychmiast rozpoczął pakowanie wszystkich potrzebnych rzeczy. Kiedy wszedł do buduaru przyszła mu do głowy myśl, że nikt nie powinien używać tego pokoju, a zwłaszcza żona, której nie chciał.

Powiedział sobie, że najważniejszą sprawą w tej chwili jest to, żeby ustanowił swoje stosunki z Carą w taki sposób, by dać jej jasno do zrozumienia, kto tu jest panem. Chciał, by rozumiała, że musi zachowywać się tak, jak on tego oczekuje od swojej żony.

Zgodnie z rozkazami markiza, jak zwykle wszystko w pałacu Broome było gotowe do użycia. Buduar, mimo że nie był w nim od chwili swego przybycia do pałacu, zdobyły kwiaty i paliły się w nim świece.

Robiono tak zawsze, kiedy markiz przyjeżdżał do pałacu. Mimo że nigdy nie używał tych drzwi, wiedział, że postępowano tak, jakby w każdej chwili chciał wejść do tego właśnie pokoju.

Nagle pociemniało mu w oczach. Uświadomił sobie, że tym razem przygotowano pokój z myślą o Carze.

Celowo nie spojrział ani na portret ojca wiszący nad kominkiem, ani na portret matki namalowany przez Sir Joshuę Reynoldsa.

Szybkim krokiem podszedł do drzwi prowadzących do sypialni. Przez chwilę, kładąc dłoń na klamce, czuł, że krew odpływa mu z twarzy. Każda cząstka jego ciała protestowała przeciwko obecności tej kobiety, która zabrała mu jego cenną wolność. Tłumaczył sobie, że nie może jej za to winić. Byłoby to bowiem małoduszne.

Nadusił klamkę i stwierdził, że drzwi są zamknięte, Nadusił po raz drugi, żeby upewnić się, czy się nie myli.

Nie chciał uwierzyć, by Cara celowo zamknęła drzwi, przewidując, że może markiz będzie chciał się z nią zobaczyć. Pomyślał sobie, że na pewno była to pomyłka jednej z pokojówek, która zostawiła drzwi zamknięte na klucz, mimo że sypialnie miały już swoich właścicieli.

Zastanawiał się, czy powinien wrócić na korytarz i wejść do pokoju drugimi drzwiami. Zdecydował się jednak zapukać do drzwi.

Podniósł rękę i zapukał, Uczynił to niezbyt głośno, ponieważ nie chciał, by jego lokaj, oczekujący go w sypialni, domyślił się, co się teraz dzieje. Pukał jednak wystarczająco głośno, by usłyszała go osoba za drzwiami.

Przez chwilę panowała cisza. Markiz zapukał po raz drugi.

- Caro!

Wydawało mu się, że dziewczyna może go nie słyszeć, ale po chwili odpowiedziała:

- Co się stało?

- Chcę z panią porozmawiać. Proszę otworzyć drzwi! Po krótkiej przerwie usłyszał krótkie:

- Nie!

- Jest to bardzo ważna sprawa i dlatego muszę porozmawiać z panią - nalegał markiz.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Pomyślał sobie, że na pewno wstaje z łóżka. Kiedy ponownie usłyszał głos Cary, był pewny, że podeszła do drzwi. Jej głos rozbrzmiewał o wiele bliżej.

- Dlaczego pan chce ze mną rozmawiać? - spytała.

- Moje plany się zmieniły i muszę pani o tym powiedzieć.

- Może mi pan powiedzieć przez drzwi. Markiz czuł, że gotuje się w nim krew.

- Niech pani przestanie sobie żartować - powiedział ostro.

- Nie mogę rozmawiać przez zamknięte drzwi.

- A dlaczego nie?

- Bo to głupie i niepotrzebne.

- Już się położyłam. Chce mi się spać.

- Potrafię to zrozumieć - odparł markiz cierpliwym głosem. - Ale mimo to chcę z panią rozmawiać. Jestem pani mężem.

- Wiem, ale nie mam zamiaru rozmawiać z panem o tak późnej porze.

- Być może jest już późno - zgodził się markiz - ale powiedziano mi, że pani już się położyła. A ja jutro wcześniej rano wyjeżdżam do Londynu.

Markizowi wydawało się, że Cara zastanawia się nad tym, co powiedział.

- Otwórz drzwi, Caro! - powiedział. - Opowiem pani, co się wydarzyło.

- Nie!.

Powiedziała to bardzo stanowczym tonem.

Markiz ostatkiem sił, co zdarzało mu się bardzo rzadko, powstrzymał chęć, żeby otworzyć drzwi pchnięciem ramienia.

- Nalegam, by pani zrobiła to, o co proszę - powiedział. - Chcę, by usłyszała pani, dlaczego jadę do Londynu.

- Może mi pan zostawić list - odpowiedziała Cara. - Chyba, że chce pan, żebym panu towarzyszyła. Uważam jednak, że nie bardzo się do tego nadaję.

- Nie, nie zamierzałem o tym rozmawiać - odparł markiz.
- Ale będzie pani musiała przyjechać do mnie za parę dni.

- Dobrze - powiedziała. - Kiedy poczuję się lepiej, wykonam wszystkie pana instrukcje.

Markiz usłyszał, że jej głos oddala się. Domyślił się, że Cara położyła się do łóżka.

Nie chciał uwierzyć, że ta dziewczyna nie posłuchała jego poleceń i zignorowała jego prośbę.

Po chwili usłyszał dochodzący z oddali głos Cary:

- Dobrej nocy, milordzie.

Markiz wiedział, że ich rozmowa właśnie się skończyła.

Pani Peel przyniosła Carze rano śniadanie dopiero po wyjeździe markiza do Londynu. Na bogato zdobionym srebrnym półmisku, ustawionym na porcelanowej tacy, oparto list zaadresowany do niej zdecydowanym, wyraźnym charakterem pisma. Cara pomyślała sobie, że rozpoznałaby to pismo wszędzie. Było bardzo charakterystyczne dla markiza: pełne władzy, stanowcze i przytłaczające. Wiedząc, że to by go zdenerwowało, najpierw zjadła śniadanie, odkładając przeczytanie listu na potem.

Czuła się już o wiele lepiej, niż wczoraj wieczorem i ze smakiem zjadła jajka i bułki ze świeżym, wiejskim masłem z farmy markiza. Smarowała sobie bułki domowej roboty dżemem z pigwy. Była to specjalność domu w Broome. Kiedy już zjadła prawie wszystko, co było na tacy, otworzyła list. Bez żadnych wstępów markiz pisał: Jego Królewska Mość Jerzy III zmarł w sobotę wieczorem. Proklamacja nowego króla nastąpi dzisiaj i moja obecność w Londynie jest niezbędna. Jadę do Londynu. Zatrzymam się w Broome House przy Park Lane.

Jeśli czuje się już pani wystarczająco dobrze, chciałbym, żeby pani przyjechała do mnie jutro bądź pojutrze. Uważam, że powinna być pani przy mnie, kiedy ogłoszę wiadomość o naszym małżeństwie. Ponadto musi pani kupić dla siebie odpowiednie stroje, a można to uczynić jedynie w Londynie. Jeśli poinformuje pani Curtisa, który zarządza moim domem, kiedy chce pani wyruszyć, to przygotuje on wszystko, aby zapewnić pani komfort i wygodę. Wyznaczy również służącą dla pani.

Markiz nie podpisał listu pełnym imieniem i nazwiskiem. Umieścił tylko u dołu strony swoje inicjały.

Cara czytała ten list kilka razy.

Zainteresowała ją wiadomość o śmierci króla. Pomyślała, że nowy władca po tak długim oczekiwaniu musi być zmartwiony wiadomością o zgonie swego ojca i jednocześnie ucieszony, że nareszcie zasiądzie na tronie i uzyska władzę, o której tak marzył.

Gdybym to ja była królem, pomyślała Cara, to zniósłabym małżeństwo.

Przyszło jej na myśl, podobnie jak i markizowi, że król był żonaty z kobietą, która upokorzyła go swoim zachowaniem i która została pośmiewiskiem nie tylko Anglii, ale całej Europy.

Niektórzy z przyjaciół jej wuja spotkali księżną Karolinę w czasie pobytu za granicą. Opowiadali o jej zachowaniu wśród wybuchów śmiechu. Cara uważała, że obraża to nie tylko regenta, ale również wszystkich Anglików.

- Szkoda, że jej nie widziałem - powiedział jeden z przyjaciół wuja - wtedy, kiedy opuściła ją jej angielska służba. Stworzyła wtedy służbę złożoną z francuskich pokojówek i kucharzy, arabskich chłopców na posyłki, austriackich pocztionów i włoskich służących!

- Dobry Boże! - wykrzyknął hrabia. - Czy to może być prawda?

- Ta służba jest niezdolna. Są bezczelni ponad wszelką miarę - odparł. - Ich obecność w jakimkolwiek kraju uważa się za inwazję korsarzy.

- Mam nadzieję, że Jego Księżęca Wysokość wie o tym - rzucił hrabia.

- Możesz być całkiem pewny, że ktoś już mu o tym powiedział - odparł jego przyjaciel. - Słyszałem, że kłął jak pospolity żołnierz, kiedy dowiedział się, że jego żona wjechała do Jerozolimy na osiołku.

Sposób, w jaki prowadzili rozmowę, sprawił, że Cara czuła się zakłopotana. Czuła się tak samo upokorzona, jak regent.

Domyślała się, że jej wuj nienawidził regenta. Był zachwycony, kiedy usłyszał cokolwiek nowego o księżnej Karolinie, cokolwiek, co było znieważające i upokarzające.

Przyszło jej do głowy, że markiz na pewno oczekuje od niej takiego samego stosunku do regenta tylko dlatego, że była siostrzenicą hrabiego.

Nienawidzę go, ponieważ jest moim mężem, pomyślała. A przecież mama i tata chcieli, bym zachowywała się jak dama, bez względu na to, jaki jest stryj Lionel.

Ciągle jeszcze bardzo bolały ją plecy. Doszła do wniosku, że nie powinna jechać do markiza, dopóki nie poczuje się o wiele silniejsza.

Fakt, że jest jego żoną, przerażał ją i złościł. Wiedziała jednak, że ta sytuacja jego również doprowadza do furii.

Cara nie słyszała szyderstw stryja. Nie słyszała, jak się wyśmiewał z markiza jako właściciela wspaniałych koni wyścigowych. Nie wiedziała jednak, że markiz stanowił całkowite przeciwieństwo hrabiego. Jednocześnie markiz był mężczyzną, a Cara nie chciała wychodzić za mąż. Teraz

rozmyślała tylko nad tym, w jaki sposób zerwać to małżeństwo. Jeśli nie uda się jej tego zrobić, postanowiła uciec tam, gdzie nie będzie należeć do żadnego mężczyzny i gdzie będzie mogła być sobą.

Nie było to wcale takie proste, dobrze o tym wiedziała. Rozgniewała się, kiedy zrozumiała, że markiz pilnuje jej bardzo starannie, żeby nie uciekła od niego tak, jak uciekła od swego stryja.

Nie interesowała ją społeczna pozycja, jaką osiągnęła stając się jego żoną. W dalszym ciągu chciała jechać do Francji, żeby zamieszkać tam ze swoją przyjaciółką lub po prostu zniknąć.

Nie zadała sobie pytania, skąd wiedziała, że markiz tak właśnie myślał. Intuicyjnie wyczuła, że to prawda i że markiz wydał takie zarządzenia służbie, aby uniemożliwić jej ucieczkę z pałacu w Broome.

Służba tłumaczyła się przed nią ze swego zachowania.

- Myślałam, że może pani czegoś potrzebować w nocy - powiedziała pani Peel - i dlatego kazałam Robinson spać w pani garderobie tuż obok. Wystarczy, że pani tylko zawoła, a ona natychmiast będzie na pani rozkazy.

- Dziękuję - odparła Cara. Natychmiast się domyśliła, dlaczego Robinson miała spać obok jej pokoju.

Trzeciego dnia postanowiła pojechać do markiza do Londynu. Kiedy zeszła na dół, wcale nie czuła się zaskoczona, kiedy dowiedziała się, że będzie jej towarzyszyć nie tylko Robinson, ale także Curtis.

Jechali z nią w jednym powozie. Curtis siedział tuż obok niej, a Robinson usiadła naprzeciwko. Wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać służąca: miała na sobie ciężki, czarny szal i czarny kapelusz. Pani Peel dołożyła wszelkich starań, żeby znaleźć dla Cary elegancką suknię podróżną oraz

bardzo szykowny płaszcz, bogato zdobiony sobolami. Całości dopełniała mała mufka.

- Kto mógł zostawić tutaj takie piękne rzeczy? - spytała panią Peel.

- Należały do młodszej siostry markiza, proszę pani. Ona jest teraz za granicą, mieszka w gorącym klimacie i nie potrzebuje już futer. Jestem pewna, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby pani je nosiła. Później znowu schowam je i będą czekały na powrót swej pani.

Nie wspomniano słowem o tym, co stało się z jej ubraniem z Eton, w którym Cara tutaj przybyła. Dziewczyna wstydziła się o to spytać. Zadrżały jej usta, kiedy pomyślała sobie, że być może pani Peel przechowa to ubranie w swojej szafie dla jakiegoś młodego chłopca, który będzie potrzebował w przyszłości takiego ubrania.

Kapelusik, który dała jej pani Peel, nie należał do tych najmodniejszych, jakie widziała w Londynie, ale również był bardzo ładny. Szwaczki, które pracowały w pałacu, ozdobiły go strusimi piórami, żeby bardziej pasował do stroju markizy Broome.

Cara nie mogła powstrzymać swojej ciekawości i dlatego spytała:

- Skąd wiedziałaś, że wyszłam za markiza?

Przez chwilę pani Peel wydawała się zakłopotana, po czym odpowiedziała:

- Pani musi się już chyba domyślać, że niewiele spraw w tym domu uchodzi uwagi mojej i pana Newmana.

- Myślę, że tak się dzieje w każdym domu - zauważyła z uśmiechem Cara.

Pani Peel mówiła w tak szczególny sposób, że Cara była przekonana, iż kamerdyner podsłuchiwał wszystko, co jej wuj powiedział markizowi wtedy w pokoju. Fakt, że poszli potem prosto do kaplicy, potwierdził podejrzenia służby.

Po przyjeździe do Londynu dowiedziała się, że markiz wpadł w furję, kiedy otworzył poranne gazety i dowiedział się, że hrabia wysłał do „The Gazette” ogłoszenie o ich małżeństwie.

Markiz nie miał jednak na nic czasu. Spieszył się do Carlton House, gdzie towarzyszył królowi, księżetom i księciu Leopoldowi. Wysłuchał też formuły o wstąpieniu na tron, odczytanej wolno drżącym głosem przez starego Kawalera Orderu Podwiązki.

Następnego dnia nowy król dostał zapalenia płuc. Ogłoszono, że Jego Królewska Mość jest bardzo niedysponowany.

Markiz odwiedził Carlton House. Król nie mógł spać, miał bardzo wysokie tętno i bolały go piersi. Oddychał z trudem. W środę omal nie umarł. Wszyscy chodzili na palcach.

Księżna de Lieven, która zawsze miała coś słusznego do powiedzenia na takie okazje, rzekła do markiza:

- Gdyby przypadkiem umarł, to tragedie Szekspira zbladłyby przy tej. Zdarzało się w przeszłości, że chowano razem ojca i syna, ale żeby obaj byli królami? Mam nadzieję, że on jednak wyzdrowieje.

- Ja również mam taką nadzieję - zgodził się markiz, zastanawiając się jednocześnie, czy gdyby król jednak umarł, to królowa starałaby się o regencję.

Ta myśl była tak odrażająca, że zwrócił swoją całą złość przeciw Carze. Właśnie poinformowano go, iż Cara przyjechała do Londynu.

Myślał o niej tak, jak o królowej Karolinie. Spodziewał się, że jego żona musi być bardzo wojowniczą kobietą o szerokich biodrach i czerwonej twarzy.

Kiedy wszedł do salonu, gdzie jak mu powiedziano, czekała na niego Cara, nie mógł z początku jej poznać.

Podszedł do niej. Cara wstała z krzesła i wtedy spostrzegł, że była raczej mała. Wydawało mu się, że w jej kędzierzawych włosach ukryło się słońce. Miała bardzo duże oczy. Spojrzała na niego i nie była wcale agresywna.

Skłoniła się przed nim. Markiz ukłonił się dwornie i spojrzał na nią z góry. Zaskoczony zauważył, że Cara się go boi.

ROZDZIAŁ 5

Kobiety patrzyły na markiza w różny sposób. Spoglądały na niego z miłością, pożądaniem, zazdrością, złością i wyrzutem, ale jeszcze nigdy markiz nie widział w ich oczach strachu.

Po raz pierwszy od chwili zawarcia małżeństwa pomyślał nie o swojej urażonej dumie, ale o dziewczynie. Uświadomił sobie, że kara, jaką otrzymała od swego stryja, wystarczała, żeby przerazić każdą młodą kobietę i sprawić, by bała się wszystkich mężczyzn.

Bez większego trudu zmusił się do uśmiechu, któremu większość kobiet nie mogła się oprzeć.

- Czuje się pani lepiej? - spytał.

- Tak, dziękuję - odparła Cara. - Czekałam, aż się lepiej poczuje, żeby wyruszyć do Londynu.

- To bardzo rozsądne - zauważył markiz. - A teraz, skoro już jest pani tutaj, musimy omówić wiele spraw. Może usiadziemy?

Zauważył, że Cara usiadła bardzo ostrożnie, jakby ciągle jeszcze bolały ją plecy. Siedziała wyprostowana na brzeжку krzesła, z dłońmi złożonymi na kolanach.

Usiadł naprzeciw swojej żony i zobaczył, że ciągle jeszcze w jej jasnozielonych oczach czaiło się przerażenie. Markiz chciał zacząć rozmowę opowieścią o królu i o obawach, jakie jego choroba wywołała na dworze i w całym kraju. Zadał jednak inne pytanie:

- Czy stryj często panią bił?

Cara odwróciła wzrok. Na jej policzkach wykwitł rumieniec. To pytanie wprawiło ją w zakłopotanie.

- Zawsze, kiedy go zdenerwowałam - odparła.

- To niedopuszczalne, żeby traktował panią w ten sposób!
- wykrzyknął markiz.

- Nienawidzi mnie, ponieważ nienawidził mego ojca - wyjaśniła Cara.

- A dlaczego nienawidził pani ojca?

- Mój ojciec był najstarszy z dzieci i myślę, że stryj Lionel zazdrościł mu jego pozycji od chwili, kiedy stał się wystarczająco duży, żeby to rozumieć - odpowiedziała po chwili milczenia. Markiz nie odzywał się, więc Cara ciągnęła dalej: - Mój papa różnił się od swego brata pod każdym względem. Był dżentelmenem; był bardzo odważny i uprzejmy. Wszyscy go kochali, tak bardzo jak nienawidzili stryja Lionela!

Jej głos natychmiast powiedział markizowi, co Cara czuła do hrabiego.

- Być może będzie lepiej dla nas obojga - powiedział - jeśli opowie mi pani coś o swojej rodzinie. Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób stryj został pani opiekunem. Podejrzewam, że jest pani sierotą.

Cara skinęła głową.

- Mama umarła... w zeszłym roku.

- A ojciec?

- Papa umarł cztery lata temu. Gdyby żył, w dwa dni później odziedziczyłby po moim dziadku tytuł.

Jej głos zabrzmiał jakoś dziwnie. Markiz przyglądał się jej badawczo. Kiedy nie odzywała się przez dłuższą chwilę, stwierdził:

- Wydaje mi się, że śmierć pani ojca otacza jakaś tajemnica.

Cara rzuciła mu szybkie spojrzenie, jakby zaskoczyła ją jego intuicja. Nadal jednak się nie odzywała.

- Myślę, Caro, że najważniejszą rzeczą jest sprawić, żeby nasze dziwne małżeństwo ułożyło się pomyślnie. Żeby to osiągnąć, musimy być ze sobą całkiem szczerzy. Ja chcę być wobec pani całkiem szczerzy.

- Bardzo dobrze - zgodziła się Cara. - Jeśli chce pan usłyszeć prawdę, to jestem przekonana, choć nie mogę tego udowodnić, że mój stryj zamordował mego ojca!

Jej słowa zaszokowały markiza, mimo iż tego się właśnie spodziewał. Pomyślał sobie jednak, że Cara, oskarżając hrabiego, działała pod wpływem swej nienawiści do niego.

Cichym i spokojnym głosem, tak bardzo znanym wśród jego politycznych przyjaciół, markiz zachęcił ją:

- Może by mi pani opowiedziała, co się stało. Kiedy Cara zaczęła mówić, markiz utkwiał w niej wzrok, jak gdyby chciał dokładnie wszystko przeanalizować. Chciał być pewny, czy to prawda, czy też bezpodstawne oskarżenie. Cara westchnęła i zaczęła swoją opowieść:

- Mieszkaliśmy wszyscy, mama, papa i ja w dużym domu, który Matlockowie posiadali od dwustu lat. Dziadek bardzo się cieszył, że mieszkaliśmy razem z nim, gdyż był całkiem samotny. Poza tym bardzo kochał mego ojca. - Przerwała na moment. Mówiła tak cicho, jakby mówiła do siebie. - Byliśmy bardzo... bardzo szczęśliwi.

- I co się stało? - spytał markiz.

- Dziadek zachorował i chociaż stryj Lionel nigdy nie przyjeżdżał do domu, chyba że potrzebował pieniędzy, papa uważał, że powinien go zawiadomić o chorobie dziadka.

Głos, jakim mówiła, pozwolił się markizowi domyślić, jak bardzo się wtedy martwili i co przeżywali.

- Nie widziałam stryja od wielu lat - ciągnęła Cara. - Wydaje mi się, że natychmiast poznałam, jaki to człowiek. Byłam już wtedy starsza. Wiedziałam także, że planował zagarnąć dla siebie po śmierci dziadka tyle, ile tylko zdoła. Domyślałam się też, że bardzo nienawidzi mego ojca za to, że to właśnie on jest jedynym dziedzicem.

- Czy pani ojciec zdawał sobie z tego sprawę? - zapytał markiz.

- Papa zawsze starał się pomagać stryjowi Lionelowi. Dawał mu tyle pieniędzy, na ile mógł sobie pozwolić. Zawsze pomagał mu spłacać długi.

- Przypuszczam, że właśnie wtedy wpadł w długi?

- Miał bardzo poważne długi. Przekonaliśmy się o tym, kiedy sprzedał wszystkie rzeczy w domu nie objęte testamentem. - Cara spostrzegła, że markiz nie rozumie, o co jej chodzi. - To się stało po śmierci dziadka, kiedy papa stał się głównym spadkobiercą.

- A jak do tego doszło?

- Dwa dni przed śmiercią dziadka wszyscy wiedzieli, że nie ma już dla niego ratunku. Wtedy papa i stryj Lionel pojechali razem na konną przejażdżkę, ale wrócił tylko stryj. - Nie mogła dalej mówić. Po chwili opanowała drzenie. - Stryj Lionel wyjaśnił, że przeskakiwali przez wysoki płot, koń papy przewrócił się, przygniótł go i skreślił mu kark.

- Nie wierzyliście w ten wypadek?

- Papa był wyśmienitym jeźdźcem i znał każdy płot, każdą przeszkodę w okolicy. Nigdy nie pozwoliłby swemu koniowi na zbyt brawurę!

- Dlaczego podejrzewa pani, że to stryj jest odpowiedzialny za śmierć pani ojca? - dopytywał się markiz.

- Papę przynieśli robotnicy na drzwiach - odparła Cara. - Później, wieczorem, spytałam stryja o konia papy. To był jego ulubiony koń, z którym nigdy nie miał żadnych kłopotów.

- A co się z nim stało?

- Stryj Lionel powiedział, że złamał nogę i dlatego musiał go zastrzelić.

Sposób, w jaki mówiła, nie pozostawiał cienia wątpliwości, o co podejrzewała stryja. Markiz doskonale wiedział, że jeśli człowiek jest wystarczająco zły i pozbawiony wszelkich skrupułów, żeby zastrzelić konia w

momencie, kiedy bierze wysoką przeszkodę, to z łatwością może spowodować upadek, który zabije jeźdźca.

W pokoju zapadła cisza.

- Czy naprawdę może pani oskarżać stryja o tak podłą zbrodnię?

- Mama również go o to podejrzewała - odpowiedziała Cara. - Mówiła jednak, że oskarżenia nie przywrócą papie życia, a mogłyby jeszcze popsuć stosunki między nami. - Westchnęła głęboko. - Ponadto byliśmy finansowo całkowicie zależne od stryja Lionela. Papa nie miał własnych pieniędzy, mimo że dziadek przyznał mu taką samą pensję jak swojemu drugiemu synowi.

Dziewczyna przerwała na chwilę, jakby cofała się myślami w przeszłość.

- Ponieważ rolnictwo bardzo ucierpiało w czasie wojny, kiedy mnóstwo ludzi walczyło w armii Wellingtona lub na morzu, nie mieliśmy dobrych zbiorów. Nasi dzierżawcy zalegali z opłatami, więc i my musieliśmy bardzo oszczędzać.

- Myślę, że tak się działo w całym kraju - powiedział markiz. - Rozumiem doskonale, że pani matka nie miała pieniędzy.

- Praktycznie nic nie miałyśmy - odparła Cara. - Stryj Lionel wyrzucił nas z dużego domu i umieścił w małym. Jakoś go dla nas urządził i nie pozwolił nam posiadać niczego, co mogłoby mieć jakąkolwiek wartość.

Markiz wiedział, jak bardzo było to poniżające.

- Na szczęście - ciągnęła Cara - mama mogła udowodnić, że dziadek dał jej w prezencie dwa konie, jednego na Boże Narodzenie, a drugiego na urodziny. Dzięki temu miałyśmy na czym jeździć.

Spojrzała na markiza. Sądziła, że musi się domyślać, jakie to było dla nich ważne.

- Stryj Lionel zamknął dom i pojechał do Londynu. Zwolnił służbę, nie dał im pensji. Zachowywał się w sposób, który przynosił wstyd mojej rodzinie.

Markiz pomyślał sobie, że nie powinny się spodziewać po nim innego zachowania. Nie odezwał się jednak, koncentrując się na opowieści Cary.

To musiało być w 1815 roku - domyślił się markiz. Wtedy to skończyła się wojna, a on ciągle jeszcze był na kontynencie po zwycięstwie Wellingtona pod Waterloo.

- Było bardzo trudno. Ludzie cierpieli głód, kiedy mężczyźni wracali do domu. Zwolnili ich z wojska - wyjaśniła Cara. - Mama jednak bardzo dbała o to, bym otrzymała dobre wykształcenie. - Jej głos stał się miękki i łagodny, - Na szczęście, mama miała jeszcze trochę biżuterii, którą dał jej papa. Sprzedawała wtedy te ozdoby i dlatego mogłam mieć najlepszych nauczycieli w okolicy. Oznaczało to jednak, że musiałyśmy żyć bardzo oszczędnie i nie mogłyśmy pozwolić sobie na żadne ekstrawagancje.

W jej głosie pojawiła się nuta agresji. Markiz domyślił się, że Cara nie życzy sobie od niego żadnego współczucia. Przedstawiała w swej historii wszystko dokładnie tak, jak to się zdarzyło. O to przecież ją prosił.

Nie odzywał się. Utkwił swoje szare oczy w jej twarzy.

- W zeszłym roku mama zachorowała. Zawsze brakowało jej papy i od czasu jego śmierci była bardzo nieszczęśliwa. Wiedziałam, że bardzo nie chciała mnie opuszczać, ale jednocześnie wiedziałam, że będzie szczęśliwa, jeśli znowu połączy się z papą.

Markiz domyślał się, że tym wyznaniem Cara ujawniała przed nim swoje uczucia. Pomyślał sobie, że bardzo niewiele spośród znanych mu kobiet wierzy w życie po życiu, gdzie może czekać na nie ich ukochany mężczyzna.

- Kiedy pochowaliśmy mamę - kontynuowała Cara - przyjechał stryj Lionel.

- Nie widziała się pani z nim przez pewien czas?

- Nie. Nie widziałam go od chwili, kiedy zamknął dom. Miałam wtedy zaledwie trzynaście lat.

Teraz w jej głosie pojawiło się przerażenie.

- Kiedy tylko przyjechał do naszego domku, zdałam sobie sprawę, że zdziwił go mój wygląd. Wyglądałam inaczej, niż się spodziewał.

- Chce pani powiedzieć, że zachwycał się panią? - przerwał markiz.

- Po prostu wiedziałam - odpowiedziała Cara - i nie mogę panu powiedzieć skąd, ale wiedziałam, że stryj uważał, iż mój wygląd może mu pomóc. Nienawidziłam go jako zabójcę mego ojca, a teraz bałam się o siebie. Nie umiem tego wyjaśnić.

- Czy kazał pani mieszkać z sobą?

- Kazał mi spakować wszystkie rzeczy i jechać z sobą do Londynu - odparła Cara. - Nie miałam żadnego wyboru. Musiałam go słuchać.

- Kiedy to się stało?

- Krótko przed Bożym Narodzeniem. W czasie podróży powiedział mi: „Nie będziesz nosić żałoby po matce. Nie chcę słyszeć żadnego płaczu w moim domu. Twoją jedyną zaletą jest twój wiek - możesz już wyjść za męża. Znajdę ci odpowiedniego kandydata”.

- I co mu pani odpowiedziała?

- Powiedziałam, że wyjdę tylko za tego mężczyznę, którego pokocham.

- Przypuszczam, że ta odpowiedź rozgniewała go.

- Uderzył mnie - wyjaśniła Cara. - Kiedy dojechaliśmy do jego domu przy Grosvenor Square w Londynie i powtórzyłam to samo, zbił mnie pejczem!

Jej twarz powiedziała markizowi, co musiała wtedy przeżyć. Cara opanowała się jednak i mówiła dalej:

- Nie mogłam nic zrobić. Kupił mi parę sukien. Powiedział, że wszystko, co mam, nadaje się tylko na śmietnik. Zaczęłam zastanawiać się, jak mogłabym od niego uciec, ale nie miałam przy sobie złamanego pensa.

Markiz spojrział na nią zdziwiony. Powiedziała mu przecież, że ma przy sobie dwadzieścia funtów i trochę biżuterii.

- Wiedziałam, że nie mogę uciec, nie mając pieniędzy na opłacenie podróży - wyjaśniła dziewczyna. - Aż do świąt Bożego Narodzenia nie miałam żadnych szans, żeby zdobyć choćby szylinga.

- A co się stało w święta?

- Do domu przy Grosvenor Square przyjechała przyjaciółka mego stryja. Jest bardzo bogata.

- Jak się nazywa?

- Mówiła, że jest markizą di Cesari, ale dowiedziałam się od jej służby, że to nieprawda. Była śpiewaczką i zawsze opiekowali się nią bogaci mężczyźni. Posiadała wspaniałą biżuterię. Była bardzo szczodra.

Markiz zaczął rozumieć całą historię. Wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. W dalszym ciągu uważnie wsłuchiwał się w jej słowa.

- Stryj Lionel wywarł na markizie wielkie wrażenie, ponieważ posiadał tytuł i zakochał się w niej, A może tylko udawał.

- To nie było odpowiednie towarzystwo dla pani - zauważył markiz. - Jestem pewny, że pani matka by tego nie pochwaliła.

- Na początku nie wolno mi było brać udziału w urządzanych przez nich przyjęciach. Pewnego wieczoru markiza, która naprawdę była bardzo miłą kobietą,

powiedziała do mego stryja: „Pozwólmy temu dziecku trochę się zabawić. Przecież Boże Narodzenie to święta dzieci”. Bardzo mi się podobała długa suknia, którą dostałam na to przyjęcie, mimo że gośćmi była jakaś dziwna kolekcja różnych typów. Mama zgorszyłaby się samym widokiem nie tylko mężczyzn, ale i kobiet. - Dziewczyna urwała na chwilę. - A przede wszystkim przeraziłaby się... Mortimera Forstratha.

Markiz przypomniał sobie, że chciał dowiedzieć się czegoś o tym człowieku, ale choroba króla sprawiła, że całkiem uleciało mu to z głowy.

- To był właśnie ten człowiek, za którego chciał panią wydać stryj - domyślił się markiz.

- Na sam jego widok dostałam gęziej skórki - przyznała Cara. - Nie podobał mi się sposób, w jaki na mnie patrzył. Kiedy mnie dotknął, ścierpła mi skóra. Czułam się, jak to mówią służący, jakby jakiś duch chodził po moim grobie.

- A co ci się w nim nie podobało?

- Nie wiedziałam, co mnie w nim tak raziło. Dopiero później Emily, służąca, która się mną opiekowali i bardzo mnie lubiła, wszystko mi o nim opowiedziała.

- Co pani powiedziała? Głos Cary przeszedł w szept.

- Powiedziała, że... często chodził... do tego straszego domu, należącego do pani Barclay, gdzie mężczyźni płacili... bardzo dużo pieniędzy, żeby... bić pejczem... młode dziewczyny.

Markiz zeszywniał i patrzył na dziewczynę wzrokiem pełnym niedowierzania. Wiedział, o czym mówiła. Dom pani Barclay rzeczywiście cieszył się zasłużenie najgorszą opinią. Było to miejsce, którego sam nigdy by nie odwiedził. Członkowie Klubu św. Jakuba wiedzieli jednak doskonale, że ta kobieta zrobiła fortunę na rozwiązłych i podstarzałych mężczyznach, którzy uwielbiali te egzotyczne przyjemności i zabawy.

- Skąd zwykła służąca mogła wiedzieć o tych sprawach? - zdziwił się markiz.

- Emily bardzo się o mnie martwiła - wyjaśniła Cara. - Usłyszała, co zamierzał Mortimer Forstrath, od lokaja stryja. Powiedział jej, że pan Forstrath chciał zapłacić stryjowi dziesięć tysięcy funtów, żeby tylko ten pozwolił mu się ze mną ożenić.

Markiz zrozumiał, dlaczego hrabia zażądał od niego takiej właśnie sumy. Wydawało mu się całkowicie nieprawdopodobne, że człowiek uważający siebie za dżentelmena mógł upaść tak nisko. Uznał też, że ta niechęć, którą od dawna żywił do hrabiego Matlocka, była w pełni usprawiedliwiona.

- Teraz już rozumie pan, dlaczego uciekłam - powiedziała szeptem Cara.

- I żeby uciec, zabrała pani biżuterię i pieniądze należące do markizy!

- Zaprowadziłam ją do łóżka po jej urodzinowym przyjęciu, które przeciągnęło się do samego rana. Byłam na nim, bo życzył sobie tego pan Forstrath. Robiłam wszystko, żeby go unikać. - Kiedy opowiadała o przyjęciu, jej głos znowu stał się ostry i nieprzyjemny. - Był już taki moment, że chciałam pchnąć go nożem. Wiedziałam jednak, że mi się to nie uda i w rezultacie stryj po raz kolejny mnie zbije. Za każdym razem, kiedy mówiłam, że nie wyjdę za tego człowieka, stawał się coraz bardziej okrutny i gwałtowny.

- A więc ukradłaś biżuterię markizy, pomagając jej położyć się do łóżka!

- Jej pokojówka była na dole i bawiła się razem z pozostałą służbą - wyjaśniła Cara. - Prawie wszyscy służący stryja Lionela zachowywali się w sposób, na który ani papa, ani dziadek by im nie pozwolili. Mama zawsze mówiła, że zły pan ma złych służących.

- To prawda - zgodził się markiz. - A więc położyłaś markizę do łóżka i zabrałaś jej biżuterię.

- Nie zabrałam biżuterii, którą nosiła. To byłoby bardzo nierozsądne. Ale kiedy chowałam jej klejnoty do szkatułki, znalazłam tam dwa cenne przedmioty, których nigdy nie nosiła. Jak pan wie, ciągle je mam.

- Zapomniałem o tym - rzekł markiz. - Oczywiście trzeba je zwrócić właścicielce. Nie mogę pozwolić, żeby moją żonę ścigano za kradzież!

Cara otworzyła ze zdziwienia szeroko oczy.

- Stryj Lionel byłby zachwycony, gdyby mnie powiesili za tę zbrodnię! Proszę wziąć tę biżuterię. Wierzę, że wymyśli pan jakiś sprytny sposób, żeby ją zwrócić właścicielce. Nie chciałabym, żeby domyśliła się, że jej coś zginęło. - Zanim markiz zdążył się na to zgodzić, dziewczyna rozplakała się. - Emily zrobiłaby to dla mnie. Gdybym tylko mogła się z nią spotkać.

- Zastanowię się nad tym - obiecał markiz - ale najpierw proszę skończyć swoją opowieść.

- Ukryłam broszkę i bransoletkę. Następnego dnia markiza bardzo źle się czuła i cały dzień leżała w łóżku. Poprosiła mnie, bym podała jej chusteczkę, która leżała w jednej z szuflad. Kiedy wyjmowałam ją, znalazłam w szufladzie dużo pieniędzy. Leżały w nieładzie między jej rzeczami.

Cara zmieszała się trochę.

- Wiedziałałam, że to są te pieniądze, które markiza wygrała na przyjęciu i podczas jednej ze swoich wizyt ze stryjem Lionelem w jakimś kasynie na Mayfair.

Markiz dobrze wiedział, że było tam mnóstwo domów gry przeznaczonych tylko dla arystokratów. Uważano je za domy prywatne i dlatego nie podlegały prawom o hazardzie.

- Byłam przekonana, że markiza ich nie liczyła i nie miała pojęcia, ile pieniędzy wygrała. Nie znała się na angielskich pieniądzach. Zawsze powtarzała, że nie zna ich wartości.

- Więc sama się pani obsłużyła! - powiedział z przekąsem markiz.

- Mogłam zrobić to albo wyjść za Mortimera Forstratha! Stryj Lionel powiedział mi, że rozpoczął przygotowania do tego małżeństwa. Miało się odbyć w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Miałam zamówić dla siebie suknię ślubną.

- Teraz już doskonale rozumiem, dlaczego zdecydowała się pani na ucieczkę. Uważam, że w tych okolicznościach nie mogła pani uczynić nic innego.

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy w oczach Cary pojawił się jakiś blask.

- Czy naprawdę pochwała pan wszystko, co zrobiłam, milordzie? - spytała drwiąco.

Markiz roześmiał się.

- Nie mam innego wyboru.

- Wcześniej, kiedy obchodziłam cały dom, znalazłam ubranie z Eton. Było ich tam kilka. Myślę, że należały do papy lub do stryja, kiedy byli chłopcami. Znalazłam tam też stroje sprzed co najmniej wieku.

- Wszystkie strychy w Londynie są pełne skarbów - zauważył markiz. - Wiem, że moja matka znalazła raz w pałacu w Broome suknię ozdobioną prawdziwymi diamentami. Suknia leżała na strychu ponad sto lat!

- Jeśli wrócę do Broome, na pewno dokładnie przeszukam cały pałac! - wykrzyknęła Cara.

Markiz natychmiast zauważył, że dziewczyna nie użyła słowa „kiedy”, lecz „jeśli”. Cara spostrzegła, że zwrócił na to uwagę.

- Chciałam o tym porozmawiać.

- Tak, oczywiście, ale proszę mi pozwolić najpierw powiedzieć, że cieszę się, że opowiedziała mi pani o swojej ucieczce. Dzięki temu rozumiem, dlaczego musiała pani to zrobić.

- Obawiam się, że na nieszczęście dla pana wybrałam właśnie pański powóz. Zrobiłam to, ponieważ tylko on był zaprzężony w sześć koni. Podejrzewam jednak, że gdyby ktokolwiek zobaczył mnie wtedy i powiadomił o tym stryja Lionela, ta ucieczka skończyłaby się tak samo.

Markizowi przyszło na myśl, że mogła nie wybierać tak bogatego człowieka. To pomogło hrabiemu zmusić go do małżeństwa. Jednocześnie wybrała wroga swego stryja. Dzięki temu hrabia Matlock dokonał na nim swej zemsty. Nie chciał jednak mówić tego głośno. Po chwili przerwy powiedział:

- Co się stało, to się nie odstanie. Mam nadzieję, Caro, że jesteśmy oboje wystarczająco inteligentni, żeby zachować się możliwie najrozsądniej w tej niezwyklej sytuacji.

- Oczywiście można unieważnić to małżeństwo - stwierdziła Cara. - Przecież stryj Lionel zmusił pana do niego szantażem.

- Niemniej jednak z punktu widzenia prawa zawarliśmy małżeństwo całkiem legalnie - zauważył markiz. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo oburzała go ta historia. Nie wiedział, że jego głos stał się ostry, zimny i pełen pogardy.

- Chciałabym coś zaproponować - powiedziała cicho Cara.

- Co takiego?

- Skoro nie chce pan być żonaty... ja także nie chcę być mężatką... gdybym zniknęła... i po roku lub dwóch mógłby pan przypuszczać, że już nie żyję... Byłby pan wolny.

- Gdyby ten pomysł był realny, moglibyśmy się nad nim zastanowić - odparł markiz. - Musi jednak zdawać sobie pani sprawę z tego, że wtedy pani stryj niechybnie oskarżyłby mnie

o morderstwo. Wywołałby taki skandal, że wszyscy w tym kraju by pani szukali.

Cara patrzyła na niego wzrokiem pełnym zdumienia.

- Naprawdę myśli pan, że stryj mógłby tak postąpić?

- Jestem o tym przekonany. Wykorzystałby to, gdyby nie miał żadnego innego sposobu, by zmusić mnie do zapłacenia za zachowanie milczenia.

- Nienawidzę go! Nienawidzę! - krzyknęła z wściekłością Cara. - Jak można pozwolić, by postępował tak bezkarnie! Jestem pewna, że zabił papę i na pewno jeszcze wiele innych osób! Wszyscy to wiemy!

- Takie podejrzania są bezużyteczne, jeśli nie można ich udowodnić - powiedział chłodno markiz.

- Co zatem mogę zrobić?

- Odpowiedź jest bardzo prosta - odparł markiz. - Jest pani moją żoną i nie powinno sprawić pani kłopotu, żeby zachowywać się tak, jak świat wymaga tego od osoby o takiej pozycji.

Cara roześmiała się.

- Wiem, że zna pan moją odpowiedź. Dlaczego mam pozostać z kimś, kto nienawidzi mnie tylko dlatego, że jestem bratanicą hrabiego Matlocka?

- Nie będę mówił nic na ten temat - obiecał markiz. - Wie pani, że byłoby to sprzeczne z moimi zasadami. Może pani być bratanicą człowieka, którym pogardzam i którego potępiam, ale nie jest przecież pani jego córką.

Cara wstała z krzesła i wyjrzała przez okno.

Przed domem rozciągał się mały ogród ze starannie utrzymanymi ścieżkami. W samym środku ogrodu znajdował się mały basen z rzeźbionego kamienia dla złotych rybek, a w nim stała śliczna statuetka.

Była zima i dlatego w sadzawce nie było wody. Drzewa i krzaki nie miały liści. Cara dojrzała jedynie dwa wiecznie

zielone krzewy. Patrzyła na ogród, myśląc jednocześnie o swoim życiu z markizem. Wydawało się, że nie będzie jej bił ani źle traktował, tak jak to robił jej stryj. Mimo to miało to być życie bez miłości.

Wiedziała, że nie potrafi przeciwstawić się atmosferze nienawiści i samotności, której gorzko doświadczyła, mieszkając w domu przy Grosvenor Square.

Będę musiała i tak uciec, pomyślała sobie. Cokolwiek by powiedział, tylko to mogę zrobić.

- O czym myślisz, Caro? - spytał markiz.

- Niech chociaż moje myśli pozostaną moją wyłączną własnością! - rzuciła krótko.

- Więc może zgadnę. Mam uczucie, że ciągle jeszcze chce pani mnie opuścić. Pozwolę sobie powiedzieć, że nigdy ci na to nie pozwolę.

Cara odwróciła się i spojrzała na niego.

- Jak może być pan taki nierozsądny - powiedziała - żeby wymagać ode mnie, bym została z panem, skoro doskonale wiem, że nie zniesie pan mojej obecności? Za każdym razem, kiedy spojrzysz na mnie, przypomni sobie, jak bardzo upokorzył pana mój stryj. Choćby nie wiem jak bardzo starał się pan o tym zapomnieć, ta myśl zamieni pańskie życie w piekło!

Sposób, w jaki mówiła, bardziej zaskoczył markiza, niż to, co mówiła. Wstał od stołu i podszedł do niej.

Nic nie mówiła. Patrzyła tylko na niego swoimi dziwnymi, lekko skośnymi oczami. Wydawało mu się, że zadaje pytanie, na które nie ma odpowiedzi.

- Zaskakuje mnie pani, Caro. Nie jest pani w niczym podobna do innych młodych kobiet, które do tej pory spotkałem. Przedstawia pani problem, który bardzo chciałbym rozwiązać. Byłoby wspaniale, gdybyśmy spróbowali rozwiązać go wspólnie.

- Jest pan bardzo sprytny - zauważyła Cara. - Chce pan, żebym przeszła na pańską stronę po to, bym pana słuchała, nie zdając sobie z tego sprawy.

- Prawdę mówiąc, pomyślałem sobie, jak bardzo źle byśmy się czuli walcząc i kłócąc się z sobą od rana do wieczora! Wydawało mi się, że odkąd skończyła się wojna, nie muszę z nikim walczyć.

- Nie jestem pana wrogiem! - rzuciła Cara.

- To prawda - zgodził się. - Jestem gotowy walczyć z wrogami poza domem, ale nie umiałbym zachować się mając wroga we własnym domu.

- Teraz próbuje pan dojść do porozumienia. Uważam jednak, że jest to o wiele groźniejsze dla mnie, niż gdyby zachowywał się pan agresywnie i groził mi wszystkim, co jest w zasięgu pana ręki!

Markiz ponownie roześmiał się szczerze.

- Używa pani dziwnych zwrotów. Wydaje mi się, że jak długo umiemy się śmiać, choćby z siebie, tak długo sprawy nie będą wyglądać aż tak czarno, jak to jest teraz.

Cara odwróciła się od markiza i ponownie wyjrzała przez okno do ogrodu.

- Ponieważ mam wiele spraw do zrobienia dla Jego Królewskiej Mości, a to wymaga mojej obecności przy jego osobie, to czy moglibyśmy zawrzeć teraz rozejm?

- Przypuszczam, że tak.

- Bardzo dobrze. - W jego głosie wyraźnie zabrzmiała nutka zadowolenia. - To będzie pani posag panny młodej.

Wydawało mu się, że żadna kobieta nie mogłaby odrzucić tak szlachetnej propozycji. Tak naprawdę wiedział doskonale, że każda piękność należąca do jakiegokolwiek warstwy społecznej byłaby zachwycona tą propozycją. Jednak Cara wahała się. Markiz nie mógł zrozumieć, dlaczego.

- Chcę, żeby moi przyjaciele podziwiali moją żonę - wyjaśnił. - Uważam, że jest to dla nas niezwykle ważne, byśmy uwierzyli, że zawarliśmy związek małżeński dlatego, że bardzo się sobie podobamy, a nie dlatego, że zmusił nas do tego pani stryj.

- Czy uważa pan, że on nikomu nie powie, jak to się stało?

- Chyba nie. Uzyskał to, na czym bardzo mu zależało. Odniósł wielkie zwycięstwo i myślę, że jeśli jeszcze kiedyś nas zaatakuje, to dopiero wtedy, kiedy zobaczy owoce mojego dotychczasowego zwycięstwa.

Cara wzdrygnęła się.

- On... mnie przeraża.

- Muszę pani coś przyrzec - powiedział markiz. - Teraz jest już pani moją żoną i jeśli on jeszcze raz panią dotknie, zabiję go.

Nie podniósł głosu, mówił jednak bardzo dobitnie i wyraziście. Cara spojrzała na niego zdziwiona.

- Czy naprawdę tak pan myśli?

- Naprawdę! - potwierdził, - Nienawidzę okrucieństwa i brzydzę się każdą jego formą. Zawsze byłem gotów ukarać każdego, kto źle traktuje moje konie. Mogę jedynie zapewnić, że nie rzucam słów na wiatr, kiedy mówię, że zabiję człowieka, który panią przeraża.

Cara wpatrywała się w męża. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce, jakby jego zapewnienia przywróciły ją do życia.

- To, co pan powiedział, sprawia, że... czuję się bezpieczna... po raz pierwszy od śmierci mamy.

- Zapewniam, że tak długo jak jest pani ze mną, jest pani całkowicie bezpieczna.

- Dziękuję, bardzo dziękuję.

- Wydaje mi się, że pani stryj zauważy, że jego plany spaliły na panewce, kiedy zrozumie, że jestem całkiem

zadowolony z tej sytuacji. Rozzłości się, kiedy przekonam moich przyjaciół, iż zawarliśmy małżeństwo w taki dziwny sposób tylko dlatego, że sami tego chcieliśmy.

Cara aż klasnęła w dłonie z zadowolenia.

- To bardzo... bardzo sprytne.

- Wiedziałem, że doceni pani przebiegłość moich planów - powiedział markiz. - Musimy teraz zachować ostrożność, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie. Musimy być gotowi, żeby odpowiednio potraktować pani stryja, kiedy nadarzy się ku temu odpowiednia okazja.

Cara skinęła głową na znak, że doskonale go rozumie, markiz zaś ciągnął dalej:

- Po pierwsze, musi pani wyglądać wspaniale, ponieważ moi przyjaciele oczekują, że ożeniłem się z piękną kobietą. Po drugie, w towarzystwie, żeby nie wiem co się stało, zawsze musimy być bardzo szczęśliwi i zadowoleni.

- Chce pan powiedzieć, że będziemy się tak zachowywać mając na względzie stryja Lionela. Wtedy on bardzo się tym zdenerwuje - Cara wyjaśniała sobie tok rozumowania męża.

- Właśnie! - potwierdził markiz. - I dlatego proponuję, żeby pani zrobiła zakupy w czasie, kiedy będę zajęty przy królu. Proszę kupić takie rzeczy, żeby wszystkim kobietom powychodziły oczy z zazdrości.

Nastąpiła krótka chwila milczenia.

- Co panią martwi? - spytał markiz. Cara podniosła na niego wzrok.

- Może jestem głupia, ale... byłam taka biedna, kiedy mieszkałam z mamą. Jedyne, co posiadałam, to te rzeczy, które uszyłyśmy razem z mamą. Dlatego boję się, że nie mam dobrego gustu i nie wybiorę odpowiednich strojów, które powinnam nosić jako pana żona.

Markiz uśmiechnął się. Tym razem bez przymusu.

- Doskonale panią rozumiem. Głupiec ze mnie, że nie domyśliłem się od razu, co pani czuje. Jest jednak bardzo proste rozwiązanie tego problemu.

- Jakie? Jakie? - dopytywała się Cara.

- Przecież krawcy mogą przyjść do domu i wtedy razem wybierzemy potrzebne rzeczy.

Pomyślał sobie, ile to sukni wybierał nie tylko dla swoich kochanek, które mieszkały w jego komfortowym domu w Chelsea, ale także dla piękności, które mimo że kochały go całym sercem, były gotowe uszczuplić zawartość jego portfela. Zawsze prosiły o suknię na jakąś specjalną okazję, o futra, bo było bardzo zimno, lub chociaż o mufkę, żeby ogrzać zmarznięte palce. Ponadto zawsze chciały jakieś drobne rzeczy, żeby wyglądać dla niego jeszcze piękniej - jakieś kapelusze, żeby ozdobić swoje złote, rude lub kruczoczarne włosy, parasole, by chronić przed słońcem delikatną cerę. Prosiły także o biżuterię, by ozdobić swe długie szyje, podobne do muszli uszy czy delikatne dłonie.

Po raz pierwszy kupię coś pięknego swojej żonie, pomyślał markiz.

Całkiem niespodziewanie dla siebie, stwierdził, że jest zadowolony.

ROZDZIAŁ 6

One są zachwycające, proszę pani, naprawdę wspaniale! - wyjąkała Emily, kiedy Cara pokazała jej stroje przysłane przez krawców.

Cara również tak uważała. Przyznawała jednak, że to dzięki markizowi te wszystkie stroje, specjalnie dla niej uszyte, były tak wspaniałe i pociągające. Ona sama nie miała ani doświadczenia, ani tak wyrobionego smaku, żeby wiedzieć, w czym jej będzie najlepiej.

Wyjęła z szafy bladozieloną suknię, która wspaniale pasowała do jej oczu, i z pomocą Emily przymierzyła ją. Pokojówka, widząc swoją panią w tak ślicznym stroju, wykrzyknęła z zachwytu:

- Ależ pani wygląda jak wiosna! Naprawdę!

Cara interesowała się tym, co dzieje się w domu jej stryja przy Grosvenor Square, więc z radością przyjęła wiadomość, że Emily przysłała ją odwiedzić.

- Może jestem zbyt śmiała - usprawiedliwiała się Emily - ale od chwili, kiedy pani uciekła z domu, bardzo się o panią martwiłam. Pan szalał z wściekłości. Dopiero Tim powiedział mi, że widział, jak pani wsiadła do powozu stojącego przed Carlton House.

- A więc to Tim mnie widział!

Tim był chłopcem do zmywania naczyń. Cara zawsze uważała, że jest on bardzo uciążliwy i nie całkiem normalny. Potrafił być bardzo sprytny, ale służący nie lubili go. Często zachowywał się podle i donosił na nich hrabiemu.

- Tak, to Tim - potwierdziła Emily. - On zawsze chodzi koło Carlton House, żeby przyglądać się panom. On także obserwuje wszystkie domy przy Grosvenor Square. Zastanawiam się, co go tak interesuje.

Cara w pewnym sensie odczuwała zadowolenie z faktu, że wie, kto ją zdradził. Często zastanawiała się, jak to się mogło

stać, że ktoś się nią zainteresował i śledził, gdy wkradała się do powozu markiza. Miała nadzieję, że zdoła na zawsze umknąć stryjowi.

Jeszcze nie porzuciła myśli o ucieczce, tym razem od markiza, niemniej jednak cieszyła się, że może kupować sobie tyle pięknych rzeczy, ile tylko zapragnęła.

Sprawiły jej także radość rozmowy z markizem i jego przyjacielem, lordem Hanskethem.

W zasadzie nigdy nie była z mężem sama, może tylko raz, kiedy krawcy przynieśli jej suknie do przymiarki. Zeszła wtedy na dół do jego gabinetu, gdzie pisał listy przy swoim biurku.

Markiza często nie było w domu, a kiedy nie musiał wychodzić, był zajęty pisaniem.

Cara powoli zauważała, że jej mąż odgrywa bardzo ważną rolę w debatach i posiedzeniach Izby Lordów. Ponadto król wymagał, żeby mu zawsze towarzyszył.

Jego Królewska Mość powoli wracał do zdrowia po zapaleniu płuc. Bardzo chciał wziąć udział w pogrzebie swego ojca, jednak lekarze surowo mu tego zabronili. W końcu uległ ich prośbom i pozostał w domu, ale nalegał, by stale towarzyszył mu markiz.

Król bardzo martwił się swoją żoną. W zasadzie nie mówił o niczym innym i markiz musiał wysłuchiwać opowieści o wszystkich wyczynach królowej w Europie. Musiał również czytać długie oświadczenia, które król pisał w nadziei, że w przyszłości rozwiedzie się z Karoliną.

Te historie należały do tak odrażających, że za każdym razem, kiedy markiz wracał do domu, coraz bardziej upewniał się, iż Cara bardzo różni się od innych kobiet.

Już przy pierwszym ich spotkaniu zauważył, że posiada bardzo bystry umysł i cięty język. To wprawiało w zachwyt Hansketha.

- Jedno jest pewne, Ivo - mówił Hansketh. - Ze swoją żoną nigdy nie będziesz się nudził. A przecież wszystkie kobiety, które dotychczas znałeś, szybko cię nudziły.

- Dlaczego tak twierdzisz? - zdziwił się markiz.

- Ona ma niezwykle oryginalny umysł i niezwykle sposób wypowiedzenia swoich myśli - odparł lord Hansketh. - Jest niewiele podobnych kobiet, zwłaszcza tak młodych.

Markiz musiał przyznać, że to prawda. Nadal jednak oburzał go sposób, w jaki zmuszono go do zawarcia tego małżeństwa. Ciągłe jeszcze wściekał się, że Cara pozbawiła go wolności. Musiał jednak przyznać, że kiedy jedli w trójkę kolację, jego żona była doskonałą słuchaczką i bardzo inteligentnie włączała się do rozmowy.

Cara nie miała żadnego doświadczenia i, chociaż nie chciała się do tego przed sobą przyznać, takie rozmowy łagodziły jej strach przed mężczyznami.

Cały dwór pograżył się w żałobie. Nie wydawano żadnych przyjęć. Markiz zaś powiedział, że nie może spotykać jego przyjaciół, dopóki nie zostanie im formalnie przedstawiona. Mógł to uczynić jedynie podczas, jak to określił, wielkiej okazji.

Wiedziała, co to oznacza: że musi wyglądać wspaniale. Markiz chciał pokazać, że ich małżeństwo, które trzymano w tajemnicy do czasu, kiedy król wyzdrowieje, jest najnormalniejsze w świecie.

- On się chyba mnie wstydzi - mówiła sobie Cara - ponieważ nie jestem kobietą; którą by dla siebie wybrał, gdyby miał wolny wybór.

Dziewczyna widziała, że pani Peel, ochmistrz i wszyscy służący pracujący w Broome House przy Park Lane mówili o markizie tak, jakby był bogiem. Większość z nich знаła go od czasu, gdy był małym chłopcem. Dobrze pamiętali jego sukcesy w Oxfordzie, a potem w wojsku. Byli gotowi

opowiadać jej o wszystkich ważniejszych wydarzeniach z życia markiza. Byli przekonani, że Cara jest w nim bardzo zakochana, więc przypuszczali, iż zainteresuje ją każda historyjka i anegdota z jego życia.

Wobec takiej adoracji Cara nie mogła okazywać obojętności. Poza tym uważała, że byłoby to niewdzięcznością i dowodem braku dobrego wychowania. Zaczynała się jednak przekonywać, że patrzy na markiza w całkiem inny sposób. Pan Curtis, sekretarz markiza, powiedział jej, jak ważny jest jej mąż w świecie polityki i jak bardzo premier i członkowie gabinetu cenią jego zdanie.

- Czy oni kiedykolwiek tutaj przychodzą? - zapytała mając nadzieję, że spotka premiera oraz przystojnego lorda Castlereagha, sekretarza stanu do spraw zagranicznych,

- Czasami nas odwiedzają - odparł Curtis - ale zazwyczaj spotykają się w domu lorda Harrowby'ego przy Grosvenor Square.

- Znam ten dom! - krzyknęła Cara. - Mieści się tuż obok domu mego stryja. On mieszka pod numerem czterdzieści trzy, a lord Harrowby pod numerem czterdzieści cztery.

- Zgadza się - potwierdził Curtis. - Kiedy członkowie gabinetu jedli obiad w domu lorda Harrowby'ego 21 czerwca 1815 roku, czcigodny major Henry Percy, adiutant księcia Wellingtona, wbiegł do pokoju z wieścią o zwycięstwie pod Waterloo i przyniósł list księcia dla lorda Bathursta, sekretarza wojny.

- To zadziwiające! - wykrzyknęła Cara. - Szkoda, że mnie tam nie było!

- Myślę, że na te przyjęcia nie zaprasza się dam - zauważył z uśmiechem Curtis.

- To niesprawiedliwe, żeby tylko mężczyźni tak świetnie się bawili - skarżyła się.

Curtis roześmiał się głośno.

Bardzo żałowała, iż w czasie, kiedy mieszkała u stryja, nie wiedziała, że tuż obok odbywają się tak wspaniałe przyjęcia.

- Czy lord Harrowby, który mieszka tuż obok mego stryja, ma ostatnio wielu gości? - spytała Emily.

- Nie wiem, proszę pani - odpowiedziała pokojówka. - Ale postaram się dowiedzieć.

- Jak to zrobisz? - zdziwiła się młoda pani.

- Cóż, tak się akurat składa, że jeden ze służących lorda zaleca się do mnie. Robi wszystko, żeby zająć do nas i choć na krótko się ze mną spotkać. To niezwykle gaduła. Myślę, że powie mi wszystko, co tylko będę chciała.

Cara pomyślała sobie, że może nie powinna prosić tak bezpośrednio o te informacje. Zmieniła więc temat rozmowy.

- Czy mój stryj urządzał jakieś przyjęcia od chwili, kiedy uciekłam z domu?

- Tak, ale raczej niewiele - odpowiedziała Emily. - Przychodzi do nas teraz bardzo dziwny człowiek. Tim mówi, że on siedział w więzieniu za to, że obraził lorda Sidmoutha.

Cara słyszała, jak markiz rozmawiał z lordem Hanskethem o lordzie Sidmouth. Wiedziała, że był sekretarzem spraw wewnętrznych.

Dlaczego mój stryj utrzymuje kontakty z człowiekiem, który siedział w więzieniu? - zastanawiała się Cara.

- Nazywa się Thistlewood - powiedziała Emily. - Tim mówi, że to bardzo nieprzyjemny człowiek.

- Co to znaczy?

- Nie wiem. Nie słucham tego, co mówi ten chłopak. On zawsze opowiada takie rzeczy, że skóra cierpnie. Pamięta pani Alberta? Mówił, że zeszłej nocy Thistlewood i nasz pan omawiali jakiś plan. Mówił, że nie byłby zaskoczony, gdyby przygotowywali jakieś morderstwo! - Emily zniżyła głos do szeptu.

- Nie mówisz tego chyba poważnie - zaoponowała Cara.

Potem przypomniała sobie, że przecież podejrzewa stryja, iż zamordował jej ojca. Skoro więc mógł raz popełnić taką zbrodnię, dlaczego nie miałyby tego uczynić po raz kolejny?

Cara włożyła suknię z powrotem do szafy.

- Myślę, że Albert przesadza, ale powiedz mi wszystko, co on słyszał.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że Albert musiał podsłuchiwać pod drzwiami pokoju, w którym jej stryj rozmawiał z Thistlewoodem. .

- Ten Albert zawsze wygaduje bzdury! - stwierdziła Emily. - Nie słucham nawet połowy tych jego opowieści, ale kiedy przyjdę do pani następnym razem, wszystkiego się od niego dowiem.

Emily wyszła, a Cara przemyślała sobie dokładnie wszystko, co usłyszała od pokojówki stryja. Uznała, że to nieprawdopodobne, by jej stryj zaplątał się w sprawy, które groziły więzieniem. Jednocześnie jednak wiedziała, że służący zawsze wiedzą wszystko najwcześniej i najlepiej.

Interesowała się zwłaszcza przyjęciami u lorda Harrowby'ego, ponieważ jej mąż również brał w nich udział.

Od kiedy markiz rozmawiał przy niej o polityce ze swoim przyjacielem, Cara coraz bardziej się tym interesowała. Wiedziała, że zarówno Henry Hansketh, jak i jej mąż martwili się, że jeśli nie podejmie się żadnych kroków, to krajowi grozi wybuch rewolucji społecznej, która może obalić rząd.

Wydawało jej się, iż bardzo często panowie zapominali o jej obecności i omawiali bardzo poważne i interesujące sprawy. Zawsze wtedy żałowała, że nie prowadzi żadnych zapisków. Bała się, iż może to wszystko zapomnieć.

Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o tym Thistlewoodzie, postanowiła Cara. To jest człowiek, który może wywołać zamieszki.

Tego wieczora markiz wrócił z pałacu bardzo późno. Król był wściekły z powodu karykatur i pamfletów politycznych sprzedawanych w sklepach i na ulicach. George Cruikshank, William Home oraz inni satyrycy i artyści szydzili z królowej i wyśmiewali króla. Tylko jeden wydawca odważył się sprzedawać druki lojalistów.

- Coś trzeba z tym zrobić! - krzyczał rozgorączkowany król. Markiz nie miał jednak gotowego rozwiązania.

Każdego dnia pojawiały się coraz to agresywniejsze i wulgarniejsze oszczerstwa pod adresem króla. Sprzedawano je na ulicach. Nie było żadnego sensu czynić czegokolwiek, by je powstrzymać.

- Oni doskonale wiedzą, że to tylko zachęci królową do jeszcze gorszego zachowania! - mówił gorączkowo król.

Markiz bardzo mu współczuł, ale cieszył się, kiedy po wielogodzinnych rozmowach o królowej i jej złym zachowaniu wracał do domu i stwierdzał, że Cara czeka na niego w salonie.

Była bardzo młoda i markiz musiał przyznać, że wyglądała olśniewająco w jednej ze swoich nowych sukien, które jej kupił.

Suknia pasowała do koloru jej oczu. Markiz doszedł do wniosku, iż szczególnie ten odcień bladej zieleni sprawia, że jej skóra staje się wyjątkowo biała i uwydatnia kolor włosów i oczu.

Suknia nadawała jej wygląd elfa. Nie zauważał tego w żadnej kobiecie, którą znał do tej pory, ani w żadnej, w której się dotąd kochał. Nie chciał się do tego przyznać, ale Cara bardzo mu się w tym stroju podobała.

Cara zerwała się na nogi w chwili, kiedy markiz wszedł do salonu.

- Jest już bardzo późno - powiedziała. - Niepokoiliam się, że coś się panu stało.

- Jego Królewska Mość zatrzymał mnie. Dzieje się to tak często, że nie mam już siły się usprawiedliwiać.

- Nie musi się pan usprawiedliwiać - odparła Cara. - Ja się z tym zgadzam, kucharz również musi to zaakceptować. Mam nadzieję, że obiad jest jeszcze dobry.

- Zaraz się przebiorę - powiedział markiz i pobiegł na górę.

Tymczasem przyjechał Henry, który dowiedział się, że obiad będzie później niż zwykle. Czekał na markiza i rozmawiał z Carą.

Siedzieli na kanapie. Markiz pomyślał sobie, że musieli rozmawiać o czymś intymnym. Przyszło mu do głowy, iż Henry, który zawsze mówił z podziwem o żonie markiza, jej urodzie i inteligencji, może zalecać się do Cary. Opanował się jednak. Wiedział dobrze, że byłoby to nielojalne i niemożliwe.

Niemniej jednak ta myśl wróciła w czasie obiadu. Coraz bardziej go to denerwowało.

- Zapytałam lorda Hansketha przed obiadem - powiedziała Cara - czy słyszał kiedykolwiek o człowieku nazwiskiem Thistelwood.

- Jej Lordowska Mość podejrzewa, że to zły człowiek. On siedział w więzieniu - wyjaśnił Hansketh.

- Słyszałem o nim, ale nie mam pojęcia, dlaczego się pani nim interesuje - odpowiedział zimno markiz.

Zauważył, że zarówno jego żona, jak i Henry spojrzeli na niego z zaciekawieniem.

- Thistlewood to zdegenerowany dżentelmen, który przegrał w karty wszystkie swoje pieniądze. Teraz naprzykrza się wszystkim członkom parlamentu.

- Wiem, że poszedł na dwanaście miesięcy do więzienia za obrazę lorda Sidmoutha - wtrąciła Gara.

- Na pewno czytała pani o tym w gazetach - odrzekł markiz. - Z pewnością zachowywał się w odrażający sposób i Sidmouth miał rację, traktując w ten sposób natręta.

- On już wyszedł z więzienia - kontynuowała Cara.

- Jeśli to prawda, i jeśli nadal sprawia kłopoty, to na pewno tam wróci.

- Może jednak narobić wszystkim sporo kłopotów - zauważył Henry.

- Myślę, że to mało prawdopodobne - uciął temat markiz.

Później Cara dokładnie myślała nad tym, co powiedziano w czasie kolacji. Przypuszczała, że jeśli jej mąż dowie się, iż ten Thistlewood spotyka się z jej stryjem, zacznie go podejrzewać o przygotowanie jakiegoś okropnego spisku. Z rozmów markiza z Henrym wnioskuje, że rewolucja, której wszyscy się tak obawiali, może mieć miejsce tylko wtedy, jeśli znajdzie się odpowiedni przywódca.

Wydawało się jej, że osoba, którą markiz nazwał zdegenerowanym dżentelmenem, może zorganizować rebelię i stanąć na jej czele.

Muszę dowiedzieć się więcej od Emily - postanowiła sobie.

Wychodząc po kolacji, Henry spytał:

- Będziesz jutro na przejażdżce w parku, Ivo?

- Oczywiście - odparł z uśmiechem markiz.

- A zatem do zobaczenia, do jutra. Kupiłem wczoraj nowego konia. Chciałbym, żebyś rzucił na niego okiem, zanim wyślę go do mych posiadłości na wsi.

- Z przyjemnością. Jak tylko uzyskam zgodę króla na wyjazd, chcę zabrać Carę do pałacu Broome. Mam nadzieję, że będziesz nam towarzyszył.

- Wiesz, że nigdy nie odmawiam twoim zaproszeniom - odparł Henry. - Korzystam też z każdej okazji, by pojeździć na twoich koniach.

- Chciałbym, żebyś wypróbował jednego z moich rumaków - rzekł markiz. - Jeszcze nie widziałeś Agamemnona.

- Bardzo chętnie go obejrzę. Wiele mi o nim opowiadałeś. Cara słuchała tej rozmowy z wielkim zainteresowaniem. Zdawała sobie sprawę, jak wiele dla markiza znaczyły jego konie. Zauważyła też, że kiedy mówił o nich, jego głos całkiem się zmieniał.

A może on powinien ożenić się z koniem?! - pomyślała z ironicznym uśmiechem. Zastanawiała się, czy jej mąż kiedykolwiek pokocha kobietę tak, jak kochał Agamemnona.

Wiedziała, że ten długi pobyt w Londynie denerwuje go. Jediną przyjemnością były dla niego ranne przejażdżki po prawie pustym parku.

Kiedy będę już bardzo dobrze jeździć konno, to poproszę go, bym mogła mu towarzyszyć w czasie przejażdżek, pomyślała Cara.

Miała nieprzyjemne uczucie, że mąż uważa, iż mogłaby popsuć mu przyjemność jazdy. Na pewno wolał, by robiła nadal to, co robi, i jeździła w towarzystwie lokaja po południu dla zażycia świeżego powietrza. Nie chciał, by korzystała z bardziej intensywne ćwiczeń.

Kiedy pojedziemy do Broome, udowodnię, że naprawdę potrafię doskonale jeździć konno, postanowiła.

Ponieważ od początku znajomości byli do siebie zrażeni, Cara nie mogła przemóc się, żeby poprosić o coś specjalnego w związku ze swoimi rozrywkami. Ciągle jeszcze zresztą myślała o opuszczeniu markiza. Poprosiła też Emily, aby przyniosła jej z domu stryja jeszcze jedno ubranie ze strychu.

- A co pani zrobiła z tym, w którym pani uciekła, milady?
- spytała służąca,

- Ochmistrz pałacu Broome obejrzał je z przerażeniem i na pewno spalił - odparła Cara.

Emily roześmiała się.

- Zawsze uważałam, że pani jest bardzo dzielna. Nie winię pani za ucieczkę. Przecież hrabia bił panią jak psa i mówił, że będzie pani musiała wyjść za tego okropnego człowieka.

- Zawsze będę ci wdzięczna za to, że mi o wszystkim powiedziałaś. Gdybyś tego nie zrobiła, być może byłabym już teraz żoną Forstratha! - Zadrzała na samą myśl o tym strasznym człowieku, a jednocześnie pomyślała, jak to dobrze, że markiz jest taki łagodny.

Co wieczór bezwiednie zamykała drzwi pomiędzy swoim pokojem a pokojem markiza. Od czasu, kiedy w pierwszą noc chciał z nią porozmawiać, nigdy potem jej mąż do niej nie przyszedł. Kiedy więc pewnej nocy zastukał do jej drzwi, zadrzała z przerażenia. Wydawało się jej niemożliwe, żeby markiz, którego zmuszono do tego małżeństwa w tak barbarzyński sposób, mógł pomyśleć o niej jak o kobiecie. Nie była jednak tego całkiem pewna.

Nienawidziła swego stryja, sir Mortimera Forstratha i w zasadzie wszystkich mężczyzn. Bała się, że markiz będzie chciał jej dotknąć.

Teraz, kiedy znała go trochę lepiej, miała nadzieję, że nie interesuje się nią jako kobietą. Przypuszczała, że chce tylko, by nie przyniosła mu wstydu nosząc jego nazwisko.

Stopniowo odprężyła się. Serce już nie waliło jej w piersiach, kiedy markiz wchodził do pokoju. Nie patrzyła już na męża jak na dzikie zwierzę, które może w każdej chwili zaatakować.

Tak jak jej rany na plecach prawie się zagoiły, tak przyzwyczaiła się do myśli, że żyje z markizem prawie w przyjaźni.

Następnego ranka słyszała, że markiz wstał już o wpół do ósmej. Wiedziała, że jechał na konną przejażdżkę po parku.

Po raz pierwszy czuła nagłą potrzebę, by jechać razem z nim, by być razem z nim. Postanowiła sobie, że kiedy markiz wróci do domu, poprosi go, by następnym razem zabrał ją ze sobą.

Po chwili przyszło jej do głowy, że może jej mąż spotyka się w parku z jakąś atrakcyjną osobą. Być może spotykał się z nią jeszcze przed ich ślubem. Służący nie zapomnieli opowiedzieć jej o sukcesach miłosnych markiza i powodzeniu, jakim cieszył się wśród wszystkich piękności wielkiego świata.

- Kiedyś myślałem, że markiz ożeni się z córką księcia Newcastle - powiedział raz ochmistrz do pani Robinson. - Nigdy nie widziałem piękniejszej młodej damy. Na pewno wyglądałaby wspaniale nosząc diamenty rodowe podczas otwarcia sesji parlamentu lub w czasie przyjęć w Carlton House.

- Ona nigdy nie miała żadnych szans! - oburzyła się pani Robinson, która opiekowała się. Carą.

- A kto miał według pani jakiegokolwiek szanse, pani Robinson? - spytał z przekąsem ochmistrz.

- Było wiele panien do wyboru - odparła pokojówka - ale zawsze wydawało mi się, że najładniejsza była lady Aileen Wynter. Bez wątpienia kochała się w markizie do szaleństwa.

- Niech no się chwilę zastanowię, o tak. Pamiętam ją dobrze. Bardzo jej współczułem, kiedy jej mąż zginął w Hiszpanii.

- Zapomniała o nim, kiedy tylko spotkała markiza - powiedziała z przekąsem służąca.

Naraz oboje zrozumieli, iż są zbyt niedyskretni w obecności Cary i szybko wrócili do opowieści o czasach, kiedy markiz był jeszcze małym chłopcem. Był bardzo przystojny i dlatego musiał mieć wiele kobiet, pomyślała

Cara, a mimo to nie chciał się z żadną z nich ożenić. Chciał pozostać kawalerem. 'Chciał być niezależny, tak jak i ona.

- Jeśli ucieknę, to nigdy mnie nie znajdzie i będę już na zawsze wolna - powiedziała do siebie cicho.

Zdała sobie sprawę, że jej myśli i marzenia zawsze wracają do tego samego punktu. Zawsze myślała o wolności, ale nie wiedziała, jak ją zdobyć.

- Przyniosłam ubranie, milady. Myślę, że będzie tak samo pasować, jak to pierwsze - powiedziała Emily.

Przyszła późnym popołudniem, wkrótce po powrocie Cary z przejażdżki w parku. Cara otworzyła niezgrabne zawiniątko i wyjęła ze środka ubranie, składające się z płaszcza i spodni, które musiały chyba należeć do jej ojca, kiedy jeszcze był chłopcem.

- Jest trochę większe niż tamto - powiedziała. -

I spodnie są trochę za długie.

- Można je podwinąć - zaproponowała Emily. - Mogę to dla pani zrobić.

- Teraz nie są mi potrzebne, ale schowam je na wypadek, gdybym ich kiedykolwiek potrzebowała.

- Myślę, że nigdy nie będzie pani potrzebowała tego ubrania - stwierdziła Emily. - Nie chce pani przecież uciekać od markiza! To wspaniały człowiek! Jego Królewska Mość bardzo go szanuje. Cara już nie raz o tym słyszała.

- Czy możesz mi coś powiedzieć o panu Thistlewood?

- Właśnie chciałam pani wszystko opowiedzieć - odparła Emily. - Albert mówił, że dzieją się jakieś dziwne rzeczy. Wydaje mu się, że lord Harrowby jest w niebezpieczeństwie.

- Dlaczego tak uważa?

- Pan Thistlewood powiedział do hrabiego, że gdyby udało się im pozbyć lorda Harrowby'ego i członków gabinetu, to wtedy łatwo by im było poprowadzić tłumy na budynki rządowe. Chcą zaatakować koszary w Hyde Parku.

Cara wpatrywała się w służącą wzrokiem pełnym niedowierzania.

- O czym ty mówisz, Emily?! Zaczynaj jeszcze raz od samego początku i powtórz dokładnie to, co powiedział ci Albert.

Mówiła bardzo ostrym i zdecydowanym głosem. Pomyślała sobie, że Emily mogła się jej przestraszyć. Dodała więc pośpiesznie:

- Obie wiemy, że Albert podsłuchiwał pod drzwiami. Nie mówię, że go potępiam, bo wiem, że mój stryj i pan Thistlewood to nic dobrego. Ważne jest teraz, byśmy wiedziały, co oni knują.

- Tak, milady. Ale wie pani, jaki jest Albert. Połowa tej opowieści może być zmyślona, a druga całkiem fałszywa.

- Wiem o tym - zgodziła się Cara - ale powtórz dokładnie jeszcze raz wszystko, co ci powiedział.

- Ten pan Thistlewood - zaczęła Emily - ma bandę swoich zwolenników, którzy wszędzie za nim pójdą. Albert podejrzewa, że chcą wdrzeć się do domu lorda Harrowby'ego w czasie jednego z jego przyjęć i wszystkich zamordować!

- Nie wierzę! - krzyknęła Cara.

- Tak właśnie powiedział hrabiemu. Wszystko dokładnie zaplanowali.

Cara zamilkła na chwilę.

- Gdzie mieszka Thistlewood?

- Albert się tego nie dowiedział - odparła Emily. - Ale wie, że spotyka się ze swoimi wspólnikami w stajniach przy Cato Street.

- Gdzie to jest?

- Gdzieś koło Edgware Road. Albert słyszał, że przygotowali tam sobie najróżniejszą broń. Chcą wznieść wielką rewolucję!

Cara drżała przerażona. Takie właśnie intrygi uwielbiał jej stryj. Nie mogła jednak uwierzyć, że może on spiskować z rewolucjonistami, by obalić rząd i wpędzić kraj w kłopoty. Czytała przecież o tym, co działo się na północy kraju. Słyszała, że w zeszłym roku na placu świętego Piotra żołnierze strzelali do nieuzbrojonych robotników fabryk tekstylnych i że była tam prawdziwa bitwa. Tamte wydarzenia spowodowały wiele gniewu i złości i odtąd członkowie rządu zawsze żądali ostrzejszych represji przeciwko wszelkim formom protestu.

- Dowiem się więcej od Alberta - obiecała Emily. Widać było, że sprawiało jej to wyraźną przyjemność.

- Dobrze. Jak często ci ludzie spotykają się z panem Thistlewoodem?

- Myślę, że co wieczór, milady. Albert słyszał, że dzisiaj rano hrabia powiedział w bibliotece: „Przekaż im to, co powiedziałem, Thistlewood. Rano złożysz mi o wszystkim sprawozdanie”.

Emily wyszła z pokoju. Cara zamyśliła się. Po chwili przyszła pani Robinson, żeby pomóc jej przebrać się do kolacji.

Cara włożyła jedną ze swoich najpiękniejszych sukien, które uszyto specjalnie dla niej na Bond Street. Przejrzała się w lustrze i pomyślała, że jej mąż będzie na pewno zadowolony. Chociaż w tej sprawie jest tak, jak sobie życzył.

Białą suknię ozdabiały małe bukietki magnolii z ciemnozielonymi liśćmi, co sprawiało, że suknia wydawała się wyjątkowo elegancka i niepodobna do żadnej innej, którą Cara dotychczas widziała.

Wydało się jej niezwykle, że mężczyzna może aż tyle wiedzieć o kobiecych strojach. Nagle zrozumiała, dlaczego jest lepszym ekspertem w tej dziedzinie niż inni mężczyźni. Nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że nie jest pierwszą

kobietą, dla której wybierał stroje. Nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć, ale nagle przestała być zadowolona ze swojego wyglądu i z niechęcią odwróciła się od lustra. Spojrzała na zegar i zdała sobie sprawę, że jest później, niż myślała.

- Muszę się pospieszyć - powiedziała do pani Robinson. - Jego Lordowska Mość zdenerwuje się, jeśli się spóźnię i popsuję kolację.

- Myślę, że markiz jeszcze nie wrócił, milady.

- Jeszcze nie? Jest już przecież za kwadrans ósma!

Bez słowa Cara otworzyła drzwi sypialni i wybiegła z pokoju. W holu spotkała kamerdynera Batesona.

- Czy Jego Lordowska Mość już wrócił?

- Szedłem poinformować panią, że Jego Lordowska Mość kazał pani przekazać, że jest mu bardzo przykro, ale nie może wrócić na kolację do domu. Jego Królewska Mość chce, by dotrzymał mu towarzystwa.

Cara zaniemówiła, po czym słabym głosem powiedziała:

- Proszę, powiedz kucharzowi, że może podawać kolację.

- Słucham, jaśnie pani.

Wracając do domu markiz myślał nie o swojej żonie, która jadła teraz sama kolację, ale o królu i jego problemach. Sprawy króla tak go przygnębiły, że zdecydował się wyjechać na parę dni do pałacu Broome. Powiadomił już o tym lorda szambelana.

- Muszę stąd wyjechać - powiedział. - Im szybciej, tym lepiej. - Czuł jednak, że powinien się jakoś usprawiedliwić, więc dodał szybko: - Przyrzekłem zjeść jutro kolację z lordem Harrowbym i członkami gabinetu, ale to jest już ostatnie spotkanie w Londynie na co najmniej tydzień, a może nawet i dwa.

- Trudno cię za to winić - odparł lord szambelan. - Śmierć króla i choroba naszego nowego władcy sprawiły, że przeżywaliśmy ciężkie czasy.

- To prawda! - westchnął markiz, ale nie kontynuował rozmowy.

Dojeżdżając do Broome House, pomyślał sobie, że w czasie pobytu na wsi powinien lepiej poznać swoją żonę. Wiedział już, że bardzo dobrze jeździ konno. Wydawało mu się, iż chciała wypróbować jego konie, nie tak dzikie jak Agamemnon, ale chociaż te, które potrzebowały nieco mocniejszej ręki.

Mamy wspólne zainteresowanie, pomyślał.

Często łapał się na tym, że myśli, jak bardzo atrakcyjnie wyglądała poprzedniego wieczora ubrana w jedną z sukien, które praktycznie sam zaprojektował. Wiedział, że jeśli pokaże się w tej sukni na jakimś większym przyjęciu, na pewno wszyscy zwrócą na nią uwagę.

Powóz podjechał pod dom. Lokaj podbiegł i otworzył drzwi. Kiedy markiz szedł do domu, Bateson mówił:

- Przepraszam, milordzie, ale jakaś młoda kobieta imieniem Emily nalega, by się z panem zobaczyć. Powiedziałem jej, że jest już zbyt późno, ale ona czeka. Błagała mnie, bym powiedział o tym panu. Twierdzi, że to sprawa życia i śmierci.

Bateson mówił w sposób, który wyraźnie wskazywał, że on sam nie wierzy w tę historię.

Przez chwilę markiz zastanawiał się, gdzie już słyszał imię „Emily”. Przypomniawszy sobie, że to Cara powiedziała mu, iż Emily to służąca, która pomagała jej uciec od stryja.

- Przyjmę tę kobietę w moim gabinecie - postanowił.

Poszedł do swojego pokoju i zastanawiał się, czego dowie się od tej kobiety i czy Emily nie przedyskutowała już wszystkiego z jego żoną.

Spojrzał na zegar. Dochodziła północ. Pomyślał sobie, że Cara na pewno już śpi i dlatego, całkiem słusznie, Bateson nie chciał jej niepokoić.

Otworzyły się drzwi, wszedł Bateson i zaanonsował bardzo dezaprobuującym głosem:

- Ta młoda kobieta, milordzie!

Pierwsze spojrzenie na tę dziewczynę powiedziało markizowi, iż jest to uczciwie wyglądająca osoba, starannie ubrana w czarną suknię i czarny kapelusz ozdobiony wstążkami, które zawiązywała pod brodą. Ramiona przykrywał ciężki, wełniany szal.

Skłoniła się markizowi. Stała tuż przy drzwiach czekając, aż się do niej pierwszy odezwie.

- Dobry wieczór - powiedział markiz. - Wiem, że masz na imię Emily i jesteś pokojówką. Pani знаła ciebie, kiedy mieszkała w domu przy Grosvenor Square.

- Tak, milordzie. Musiałam się z panem zobaczyć, naprawdę!

- Czy coś się stało? - zdziwił się markiz.

- Coś bardzo, bardzo strasznego, milordzie. To moja wina, ale przysięgam, że nigdy do głowy by mi nie przyszło, że pani może zrobić coś nierozsądnego, kiedy poprosiła mnie, bym jej przyniosła jakieś ubranie. Myślałam, że planuje sobie jakąś eskapadę, ale nic z tych rzeczy!

Pospiesznie wypowiedane słowa wprawiły markiza w osłupienie. Usiadł na biurku i wskazał na stojące przed nim krzesło.

- Usiądź, Emily - powiedział. - Opowiedz mi wszystko, powoli i dokładnie. Jak dotąd, nie wiem, o co ci chodzi.

Emily na sztywnych nogach doszła do wskazanego jej krzesła. Usiadła i złożyła ręce na kolanach.

- Kiedy Tim powiedział mi, że widział tam panią, nie chciałam w to uwierzyć!

- Kto to jest Tim? - zdziwił się markiz.

- To chłopak do zmywania naczyń. Zawsze wszędzie węszy i wścibia nos w nie swoje sprawy. To właśnie on powiedział hrabiemu, że pani wsiadła do pańskiego powozu.

- Rozumiem. A co tym razem zobaczył?

- Widział, jak pani szła tam, gdzie zbierają się wszyscy mordercy. Kiedy mi o tym powiedział, nie mogłam zrozumieć, dlaczego to zrobiła! Jeśli ją odkryją, zabiją ją, milordzie!

Markiz patrzył na nią zdziwionym wzrokiem. - Jacy mordercy? Skąd wiesz, że pani tam poszła?

- Tym ją widział, milordzie! Widział ją może przed dwiema godzinami. Przyszedł do mnie i powiedział o wszystkim. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom!

- Gdzie ją widział? - spytał markiz. Mówił bardzo cichym i opanowanym głosem. Wiedział z czasów wojny, że największy błąd w czasie przesłuchań to krzyczeć lub poganiać jeńców. Sprawia to, że nie mogą wydobyć z siebie głosu.

- To miejsce znajduje się przy Cato Street, milordzie - wyjaśniła Emily. - Spotykają się tam rewolucjoniści, a ich liderem jest pan Thistlewood.

Markiz zeszywniał.

- Powiedziałaś: Thistlewood?

- Tak, milordzie. To on przychodził do naszego domu, by rozmawiać z hrabią. Albert, ten lokaj, podsłuchał, o czym rozmawiali.

- A o czym rozmawiali?

- Planują, milordzie, zamordować lorda Harrowby'ego i wszystkich jego gości podczas następnego przyjęcia w domu pod numerem czterdzieści cztery.

Ta wiadomość na moment odebrała markizowi głos.

- Powiedziałaś o tym pani?

- Tak, milordzie, ale nigdy nie przypuszczałam, że może pójść do morderców.

- I chcesz mi powiedzieć, że ona właśnie to zrobiła?

- Tak, milordzie. Tim ją widział. Widział panią ubraną w to ubranie, które przyniosłam jej ze strychu. Weszła do stajni tuż przed panem Thistlewoodem i jego zbójami.

Markiz zacisnął usta. W dalszym ciągu panował nad swoim głosem.

- Czy Tim powiedział ci, ilu mężczyzn tam było?

- Jakies dwa tuziny, milordzie, a może więcej.

- I powiedziałaś, że to była Cato Street?

- Tak, milordzie. Tim mówi, że jeśli znajdą jaśnie panią, to na pewno ją zabiją!

- Miejmy nadzieję, że tego nie zrobią - powiedział markiz. - Dziękuję ci, Emily. Byłaś dzielna. Przyszłaś i wszystko mi powiedziałaś.

- Musiałam, milordzie. Musiałam! Nawet, gdybym miała stracić pracę, nie mogłam pozwolić, żeby ci zbóje zabili jaśnie panią!

- Nie mogłaś na to pozwolić, Emily. - Markiz spojrział na służącą. - Radziłbym ci, żebyś nie wracała do domu przy Grosvenor Square. Może ci tam grozić niebezpieczeństwo za to, że przekazałaś mi te informacje. Zostań lepiej u nas. Mój ochmistrz znajdzie ci jakieś łóżko, a rano porozmawiamy o tym, co mogę dla ciebie zrobić.

Po jej policzkach pociekły łzy.

- Dziękuję, milordzie. Dziękuję! Jestem pewna, że coś podejrzewają. Wybiegłam przecież z domu o tak późnej porze. Wiedzą, że kocham jaśnie panią i nie pozwolę, aby stało się jej coś złego.

- Nic złego się pani nie stanie, a ty będziesz u nas bezpieczna - uspokoił ją markiz.

Wstał i wyszedł do holu. Wydawał Batesonowi rozkazy i jednocześnie zastanawiał się, czy zdoła uratować Carę.

ROZDZIAŁ 7

Jadąc na Cato Street w zamkniętym powozie typu Brougham, jakiego często używał w Londynie, markiz nie mógł uwierzyć, że wszystko, co opowiedziała mu Emily, to prawda. Przypomniawszy sobie jednak to, co powiedział żonie:

- Dzisiaj zjem kolację w domu, a jutro spotkam się z członkami gabinetu u lorda Harrowby'ego. Cara nic wtedy nie odpowiedziała, a jego wcale to nie zdziwiło. Teraz jednak był pewien, że Cara pojechała do domu przy Cato Street, by sprawdzić, czy historia Emily jest prawdziwa i czy spiskowcy naprawdę chcą zamordować członków gabinetu w domu lorda Harrowby'ego.

Wydawało się to mało prawdopodobne, a jednak markiz wiedział, że ziarna rewolucji dojrzewały bardzo powoli i nikt się tym nie interesował.

Poszedł na górę, by sprawdzić, czy Cara naprawdę wyszła z domu i czy czasem nie położyła się do łóżka w czasie, kiedy on poszedł się przebrać. Otworzył drzwi do jej sypialni.

Gdyby drzwi były zamknięte, jak zawsze w czasie ich małżeństwa, wiedziałby, że jego obawy są nieuzasadnione. Drzwi jednak otworzyły się bez trudu. W świetle dochodzącym z korytarza ujrzał puste łóżko. Wiedział, że Cara postąpiła najbardziej nierozważnie w swoim całym dotychczasowym życiu.

Markiz nie lekceważył niebezpieczeństwa, które jej groziło. Kazał stangretowi poczekać na cichym placu tuż przy Edgware Road, a sam poszedł w kierunku Cato Street, kryjąc się między drzewami.

Było już po północy. Na ulicach nie pojawiali się przechodnie, z rzadka przejeżdżały powozy. Nie dostrzegł nawet żadnych osobników szukających czegoś w rynsztoku, czekających na zapóźnionych i lekko zawianych przechodniów, żeby coś od nich wyzebrać lub ich okraść. W

każdym razie Edgware Road nie było bezpiecznym miejscem i dlatego markiz chował się widząc, że ktoś idzie w jego kierunku. Nie chciał wdawać się w żadną awanturę.

Bez trudu odnalazł Cato Street. Była to mała, niepozorna uliczka, przy której stało kilka wałających się stajni i zrujnowanych domów. Niektóre z nich były puste. Pomiedzy nimi widniała jakaś tawerna. Żółte światło padające z jej okien oświetlało stojącą po drugiej stronie stajnię. Markiz instynktownie wyczuł, że właśnie to jest miejsce, które mu opisywała Emily.

Uchylone drzwi wisiały na urwanych zawiasach. Markiz nie wszedł do środka. Czekał w cieniu po drugiej stronie ulicy.

Po chwili zauważył, że dom po drugiej stronie jest pusty i ciemny. Drzwi domu były otwarte. Wszedł do środka. Starał się unikać starych i skrzypiących desek. Zatrzymał się i obserwował stajnię.

Zdawało mu się, że dojrzał mignięcie światła, ale nie był tego całkiem pewny. Wszędzie panowała złowroga cisza. Nagle zaczął się strasznie bać o Carę.

Jak ona mogła, pomyślał, postępować tak nierozsądnie, przebrać się za chłopca i podsłuchiwać spiskowców. Przecież oni zabiją każdego, kto może ich zdradzić.

Musiał przyznać, że Cara była niesłychanie odważna. Nie wyobrażał sobie, żeby jakakolwiek znana mu kobieta podjęła takie ryzyko. Nie mógł jednak przewidzieć tego, co zrobi jego żona. Była taka mała, delikatna i rozkoszna, że nie mógł spokojnie myśleć o tym, iż ktoś mógłby być wobec niej brutalny, może nawet torturować, by wymusić na niej zeznania.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy wyszedł z domu, przyszło mu do głowy, że powinien zabrać ze sobą pomoc. Jeśli Emily miała rację i w stajni znajdowało się czterdziestu czterech spiskowców, powinien był zabrać ze sobą tylu samo

ludzi, żeby stawić im czoło. Gdzie jednak mógł znaleźć tylu ludzi o tej porze?

Pomyślał sobie, że nie wolno mu czekać na rozwój wydarzeń i powinien zacząć działać. W tej chwili ktoś powoli i cicho otworzył drzwi do stajni.

Markiz wstrzymał oddech. Zobaczył jakiegoś mężczyznę, który ostrożnie wyglądał na ulicę. Upewnił się, że nikogo w pobliżu nie ma, więc otworzył drzwi nieco szerzej i kolejno zaczęli wychodzić jego współpracownicy. Byli to dokładnie tacy ludzie, jakich markiz oczekiwał.

W niczym nie przypominali pokornych robotników, którzy mieli wiele powodów, by protestować przeciwko bezrobociu i głodowi. To byli malkontenci pochodzący z klas wyższych. Ludzie zawsze gotowi użyć brutalnej siły zamiast słów.

Byli różnego wzrostu. Każdy z nich nosił na sobie piętno buntownika. Wyglądali jak piraci, gotowi dla łupu ryzykować życie.

Wyszli zachowując całkowite milczenie. Sprawiało to, że wyglądali jeszcze groźniej. Spieszyli się. Porozdzielali się na małe grupki zdążające w różnych kierunkach. Widocznie nie kazano im tworzyć jednej dużej grupy. Na końcu wyszedł człowiek, o którym markiz myślał, że musi być ich przywódcą - to był niewątpliwie Thistlewood.

Był człowiekiem dobrze urodzonym i mógł uchodzić za dżentelmena. Jednocześnie, mimo że w ciemnościach nie można było dojrzeć twarzy, markiz wiedział, że jest to brutalny i podły człowiek, który myśli tylko o sobie i własnych korzyściach, a nie o ludziach, których właśnie wciągał w wielkie tarapaty.

Markiz pchnął znajdujące się za nim drzwi stajni. Otworzyły się, co uznał za dobry znak. Gdyby bowiem drzwi zamknięto na klucz, mogłoby to oznaczać, że w środku jest coś, co można ukraść, i że ktoś mógłby się włamać do środka.

Thistlewood zamknął starannie drzwi stajni, wzruszył ramionami i spojrzał na tawernę, jak gdyby wahał się, czy nie pójść na kielicha. Zrobił kilka kroków i wtedy, w świetle padającym z tawerny, markiz ujrzał go wyraźniej. Thistlewood wyglądał na urodzonego kryminalistę..

Było coś okropnego w jego wąskich i zaciśniętych wargach. Markiz domyślał się, że Thistlewood jest czymś uradowany, prawdopodobnie wynikiem spotkania. Nie mógł się mylić, Thistlewood wyraźnie triumfował.

Nagle Thistlewood zmienił zamiar i poszedł w kierunku Edgware Road.

Markiz poczekał, aż ten zniknie za rogiem, po czym wybiegł z domu, w którym się ukrywał, i pospieszył w kierunku stajni.

Otworzył cicho drzwi. Wiedział ze swoich doświadczeń wojennych, że ludzie często ginęli tylko dlatego, że wydawało się im, iż przeciwnik na dobre opuścił już swoją dawną placówkę. Często zdarzało się jednak, że zostawali tam wartownicy.

Markiz odczekał chwilę, przytrzymując otwarte drzwi, po czym wszedł do środka.

Panowały tam ciemności, cuchnęło zbutwiałym sianem. Spojrzał w górę i ujrzał strych, na którym musieli się spotykać spiskowcy. Nigdzie nie mógł dojrzeć żadnej drabiny. Pomyślał sobie, że Thistlewood musiał ją przed wyjściem starannie ukryć. Nie chciał, by ktokolwiek ją ukradł.

Markiz chodził w ciemnościach po stajni, potem na chwilę zatrzymał się i nasłuchiwał. Cichym głosem, prawie szeptem zawołał:

- Caro!

Przez chwilę zdawało mu się, że musiał się pomylić i jego żony tutaj nie ma. Usłyszał jednak jakiś ruch . i szept:

- Czy to... naprawdę... ty?

- Jestem tutaj - odpowiedział. - Gdzie jesteście?

- Nie... mogę... zejść...

Markiz nie mógł nic dojrzeć w ciemnościach, więc otworzył nieco szerzej drzwi i wszedł w głąb stajni. Zatrzymał się na środku i spytał:

- Gdzie jesteście?

- Tutaj. - Głos Cary rozległ się tuż nad jego głową.

Zauważył, że Cara wspięła się na połamany żłób i ukryła w sianie przechowywanym w stajni. Siedziała na podłodze strychu. Podeszedł bliżej i rozłożył ramiona.

- Skacz, nie pozwolę ci upaść.

Cara postawiła nogę na brzegu podłogi i wyciągnęła do niego rękę.

- Jesteś już bezpieczna. Skacz.

Zapał się mocno nogami i po chwili trzymał ją już w swoich ramionach. Czuł, że Cara oplata rękoma jego szyję i szepcze przerażona:

- Oni... chcą.. cię zabić! Iwo! Oni chcą cię zabić! Chcą wszystkich zabić! Jutro w nocy!

Markiz widział, jak bardzo Cara jest przerażona. Czuł jej bijące mocno serce. . Przytulił ją do siebie i spojrzał jej w twarz.

- Jak mogłaś tutaj przyjść? Jak mogłaś zrobić coś takiego... - Urwał. Wiedział już, że Cara jest całkiem bezpieczna i że słowa są tutaj niepotrzebne. Ustami poszukał jej ust. Wiedział, że ją kocha. Kiedy czekał po drugiej stronie ulicy, przepelniał go niepokój i strach. Teraz czuł ulgę. Wiedział, że Cara jest już bezpieczna i ogarnęła go niewypowiedziana radość.

Nigdy, nawet przez chwilę, nie wyobrażał sobie, że może kiedyś zakochać się w tej dziewczynie,. która była przeciwieństwem jego ideału kobiety.

Przyciskał swoje usta do jej ust i mimo że nie chciał się do tego przyznać, zrozumiał, że od samego początku Cara stopniowo opanowywała jego serce, aż w końcu zawładnęła nim całkowicie.

Dla dziewczyny było to tak, jakby niebo się nad nią Otworzyło, zapanowała wszędzie jasność i usunęła ciemność pełną przerażenia i strachu.

Bezwiednie Cara mocniej przytuliła się do markiza i odwzajemniła pocałunek. Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, jak długo trwali tak złączeni pocałunkiem. W końcu markiz podniósł głowę. Poczł się tak, jakby wracał do rzeczywistości.

- Na miłość boską, chodźmy stąd! - wykrzyknął. - ' Tak się bałem, że ci zbrodniarze cię za -

- Oni chcieli zabić ciebie - szepnęła Cara. Wypowiadała te słowa w sposób, który wyraźnie mówił, że pocałunek sprawił ją w ekstazę i trudno było jej wrócić na ziemię.

Trzymając ciągle żonę w ramionach, markiz poszedł w kierunku drzwi. Zatrzymali się przy nich i wyjrzeni tak jak spiskowcy na ulicę. Ulica była pusta, a cała okolica wydawała się wymarła i opuszczona. Stale bojąc się o Carę, markiz przeszedł ulicę i niósł żonę do stojącego w pobliżu powozu.

Cara nic nie mówiła. Markiz domyślał się, że jeszcze przeżywa ich pierwszy pocałunek. Nie mogła myśleć o niczym innym. Kiedy w oddali ukazał się powóz, Cara zapytała:

- Czy chcesz, żebym sama tam doszła?

- Nie. Ciągłe się boję, że mogę cię stracić. - Objął ją mocniej ramieniem. Dziewczyna nigdy jeszcze nie czuła się taka bezpieczna i szczęśliwa.

Na ich widok lokaj zeskoczył ze stopni powozu i otworzył im drzwi. Markiz położył żonę łagodnie na siedzeniu i usiadł obok niej. Lokaj otulił ich obszytym futrem pledem i spytał:

- Czy jedziemy do domu, milordzie?

- Tak, do domu.

Lokaj zamknął drzwi, wdrapał się na swoje siedzenie i zaciął konie. Markiz objął żonę ramieniem. Nasunęło mu się pytanie, o którym myślał już od dłuższego czasu. Przy świetle świecy umieszczonej w srebrnej latarni powozu widział jej zwróconą ku sobie twarz, jej duże wpatrzone w niego pytająco oczy. Domyślił się, że powinien ją teraz pocałować.

Markiz ciągle jeszcze drżał na samą myśl o tych okropieństwach, które Cara przed chwilą przeżyła. Przyciągnął ją mocno do siebie i raz jeszcze dotknął ustami jej ust. Całował ją mocno i namiętnie, jakby bał się, że ją straci. Czuł, że rośnie w nim gorące uczucie do żony, uczucie jakże różne od tego wszystkiego, co przeżył do tej pory. Zdawał sobie sprawę, że to strach wpłynął na ich zachowanie, ale jednocześnie wiedział doskonale, że ten pocałunek różnił się od wszystkich jego dotychczasowych pocałunków.

Pożądał nie tylko jej miękkich, słodkich i niewinnych ust. W jego uczuciu pojawiło się coś uduchowionego, coś, co powiedziało mu, że to właśnie Cara jest tą osobą, której szukał przez całe życie.

Nie umiał sobie tego wyjaśnić. Wiedział tylko, że tak jest i że kocha ją z taką namiętnością, jakiej nie wzbudzała w nim dotąd żadna kobieta. Chciał opiekować się nią i jednocześnie dać jej szczęście.

Kiedy dojechali do Berkeley Square, markiz uniósł głowę. Cara odezwała się urzekającym głosem, jakim jeszcze nigdy nie mówiła:

- Kocham cię, Ivo... kocham. Nie wiedziałam... o tym do chwili, kiedy... usłyszałam, że oni... spiskują, chcąc... ciebie zabić!

Dopiero teraz markiz zdołał powiedzieć to, o czym od dawna myślał:

- Jak mogłaś być tak szalona, żeby iść tutaj sama? Jak mogłaś tak ryzykować życie?

- Musiałam się upewnić... czy Albert czasem tego wszystkiego nie wymyślił... Jeśli byś poszedł... jutro na obiad do lorda Harrowby'ego... to mógłbyś zginąć... - Jej głos załamał się.

- Czy to by cię zmartwiło? Myślałem, że chcesz ode mnie uciec.

- Kocham cię, choć nie zdawałam sobie z tego sprawy - odpowiedziała Cara. - Chcę... bardzo zostać... z tobą.

Przez krótką chwilę markiz milczał.

- Nie gniewasz się... na, mnie?

- Nie gniewam się - zapewnił markiz. - Przestraszyłaś mnie tak, jak jeszcze nikt do tej pory mnie nie przestraszył. Och, kochanie, przysięgnij, że już nigdy więcej tak nie postąpisz!

Czuł, że Cara drży w jego ramionach. Nie mogła zapanować nad swoimi uczuciami, przytuliła twarz do jego piersi.

- Jeśli... pozwolisz mi... zostać z sobą - szepnęła - będę się czuć bezpieczna. Muszę jednak... mieć pewność, że... ty też... będziesz bezpieczny.

- Nic mi się nie stanie - zapewnił markiz - ponieważ dzięki tobie jutrzejsze przyjęcie u lorda Harrowby'ego nie odbędzie się.

Cara odetchnęła głęboko z uczuciem ulgi. Kiedy powóz wjechał na Berkeley Square markiz pochylił się nad nią, chcąc ją pocałować.

W domu tylko nocny strażnik nie spał, ponieważ przed wyjazdem markiz kazał Batesonowi iść spać i nie czekać na niego. Wiedział doskonale, jak Cara się ubrała, i nie chciał, by ktoś ze służby widział ją w spodniach.

- Idź do swojego pokoju, najdroższa - powiedział, kiedy powóz zatrzymał się przed domem. - Przyniosę ci coś do jedzenia, a ty opowiesz mi, co się wydarzyło.

Lokaj otworzył drzwi powozu. Cara przemknęła obok niego i szybko pobiegła po schodach do domu, zanim ten zdążył się zorientować, co się stało. Markiz zwolnił stangreta i wszedł do domu. Powiesił kapelusz i pelerynę na wieszaku, po czym poszedł do swego gabinetu. Wziął butelkę szampana, tacę z kanapkami i zaniósł wszystko na górę. Czuł się szczęśliwszy, niż kiedykolwiek w życiu. Czuł się tak, jakby jakaś niewidzialna kurtyna unosiła się ku górze i odsłaniała wspaniałą sztukę, której jeszcze nigdy nie widział. Wiedział jednak, że będzie ona bardziej ekscytująca, niż wszystko, o czym do tej pory marzył. Czekala na niego Cara.

Lokaj pomógł mu się rozebrać. Markiz włożył długi, jedwabny szlafrok sięgający do ziemi i trzymając szampana i tacę z kanapkami nacisnął klamkę drzwi prowadzących do pokoju żony. Wiedział, że dzisiaj nie będą zamknięte.

Cara siedziała na łóżku. Żadna kobieta nie wyglądałaby bardziej czarująco i ponętnie, niż ona w tym przezroczystym szlafroku ze złotymi włosami błyszczącymi w świetle świecy.

Markiz postawił szampana i kanapki na stole. Usiadł na łóżku tuż przy żonie i powiedział łagodnym głosem: - Jesteś w domu! Przywiozłem cię tutaj. Nie mogę o niczym innym myśleć.

- Musiałam tam jechać,... zobaczyć, czy naprawdę... grozi ci niebezpieczeństwo. Ivo, musisz ich ocalić. Oni chcą wszystkich zabić.

- Musisz mi o tym opowiedzieć! - Patrzył na jej twarz i delikatne usta. - Kocham cię. Jak mogłem tego nie wiedzieć wcześniej?! Nie wolno ci nigdy ryzykować życia. Należysz do mnie.

- Naprawdę... mnie kochasz? - spytała Cara. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Przekonam cię o tym - odparł markiz. - Wiem już teraz, że to, co do ciebie czuję, to jest to uczucie, którego szukałem przez wiele lat, nie wiedząc o tym.

Cara krzyknęła cichutko ze szczęścia.

- Jak mogłam być tak niemądra, żeby nie poznać od razu, że ty jesteś mężczyzną, o którym marzyłam, którego mogę kochać tak, jak mama kochała papę.

- Tak, jak ja kocham ciebie.

Gdy to mówił, pochylił się ku żonie, chcąc objąć ją ramionami.

Cara opadła na poduszki. Markiz patrzył na nią przez chwilę z góry, jakby chciał zapamiętać jej urodę. Potem dotknął ustami jej ust.

Całował ją długo i namiętnie. Był to najpiękniejszy, najwspanialszy pocałunek jego życia. Cara oplótła ramionami jego szyję, przyciągając go coraz bliżej do siebie...

Wiele czasu później Cara dotknęła ramienia markiza mówiąc: ,

- Jak mogłam być taka... nierozsądna i tracić tyle czasu na myślenie, że muszę cię opuścić. Teraz wiem, że gdybym to zrobiła... musiałabym teraz... umrzeć.

- Nie umrzesz, najdroższa - rzekł markiz. - Będiesz żyć ze mną, należeć do mnie i zabiję każdego, kto spróbuje mi ciebie zabrać.

- Nikomu się to nie uda. Nie wiedziałam, że... miłość jest taka... piękna i potężna.

- Nie boisz się mnie?

- Jak mogłabym się bać kogoś, kogo uwielbiam i kocham?

- Bałaś się mnie, kiedy przyszedłem do ciebie pierwszej nocy - przypomniał markiz.

- Nigdy się już nie będę ciebie bała. Będę bała się o ciebie, żeby stryj Lionel i ten straszny Thistlewood nie zrobili ci nic złego.

Słowa te przywołały śmiertelny strach i przerażenie. Markiz przysunął się i złożył pocałunek na jej czole.

- Myślę, moja wspaniała, że później musisz mi opowiedzieć o tym, co się zdarzyło zeszłej nocy. Teraz mogę myśleć tylko o tobie i szczęściu, które mi dałaś.

- To... cudowne, że mnie... kochasz - odparła Cara. - Musisz jednak uratować lorda Harrowby'ego i gabinet.

- Zrobię to - rzekł markiz. - Powiedz mi jednak, że mnie kochasz i że nie jest to sen.

Cara zaśmiała się radośnie.

- Trudno w to uwierzyć, prawda? Kazałam Emily przynieść drugie ubranie, ponieważ myślałam o tym, by uciec od ciebie. Wtedy, tamtej nocy, kiedy mi powiedziała, że stryj Lionel spiskuje z tym Thistlewoodem, żeby zabić wszystkich, którzy będą na obiedzie u lorda Harrowby'ego, wiedziałam już, że muszę cię ocalić.

- Powinnaś była mnie ostrzec, a nie podejmować takie ryzyko - wtrącił markiz.

- Bałam się, że mi nie uwierzysz. Wydawało mi się, że to los mną kieruje. Kiedy przysłuchiwałam się ich rozmowie i knowaniom, zrozumiałam, jak bardzo cię kocham, i nawet gdybym miała zginąć, musiałam cię ocalić.

Słyszając te słowa markiz mocniej przytulił żonę do siebie. Ucałował jej policzki i szukał jej ust.

- Opowiedz mi wszystko - poprosił. - Potem będziemy mogli już myśleć tylko o sobie i zapomnieć o tych spiskowcach aż do jutra rana.

Cara położyła dłoń na jego piersi jakby chcąc go obronić przed złem.

- Znalazłam Cato Street. Emily powiedziała mi, że ci mężczyźni spotykają się w stajni. Przeszukałam wszystkie stajnie, zanim znalazłam tę właściwą'.

- A skąd wiedziałaś, która jest tą właściwą?

- W innych stały konie albo też nie było strychów. Nie mogli więc w nich się spotykać.

- Mów dalej - prosił markiz. - Znalazłaś stajnię i co potem zrobiłaś?

- Wiedziałam, że gdyby mnie odkryli, znalazłabym się w wielkich tarapatach. Kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam połamany żłób i podłogę pod sufitem, gdzie przechowywano siano. Wiedziałam, że jeśli się tam schowam, nikt mnie nie zauważy.

Mogłam również stamtąd wyraźnie słyszeć, o czym będą rozmawiać.

- Jesteś bardzo sprytna, ale przecież groziło ci niebezpieczeństwo.

- Czekałam tylko około piętnastu minut, zanim zjawił się pierwszy mężczyzna. Wyjął schowaną pod sianem drabinę, na szczęście w drugim końcu stajni, i wspiał się na stryszek. Przychodzili kolejno, jeden po drugim. Siedzieli i rozmawiali ze sobą, czekając na pana Thistlewooda.

- Skąd wiedziałaś, że to on?

- Zwracali się do niego z wielkim szacunkiem. Powiedział im, że widział się ze stryjem Lionelem. Stryj nalegał, byś... ty był pierwszą osobą, którą mają... zabić!

W głosie Cary zabrzmiało przerażenie. Markiz przytulił ją do siebie i czuł jej mocno bijące serce.

- Już nic nikomu nie grozi, moja najdroższa - powiedział łagodnie. - Musisz mi jednak opowiedzieć o wszystkim, co się wtedy zdarzyło.

- Pan Thistlewood omówił cały plan. Spiskowcy postanowili, że jeden z nich przyjdzie do domu lorda

Harrowby'ego podczas przyjęcia i będzie udawał, że jest posłańcem przynoszącym specjalną przesyłkę.

Markiz słuchał zainteresowany.

- W czasie jego rozmowy z lokajem pozostali spiskowcy mieli obserwować dom z ukrycia. - Cara zacisnęła mocniej palce na ramieniu męża. - Och, Ivo. Oni planują zabić wszystkich członków gabinetu.

Chcą zabić też służących, gdyby stawiali opór, a człowiek o nazwisku Ings, który jest rzeźnikiem, powiedział, że obetnie głowy lordowi Castlereaghowi i lordowi Sidmouthowi!

Markiz wziął głęboki oddech. Nie przerywał jednak opowieści.

- Przygotował nawet dwie torby. Dodał, że chce mieć również prawą dłoń lorda Castlereagha. Mówił, że to będzie wspaniała pamiątka!

- Oni chyba zwariowali! - wykrzyknął zdumiony markiz.

- Mówili tak, jakby byli szaleńcami - zgodziła się Cara. - Zaplanowali, że kiedy już wszystkich zabiją, dadzą racą znak swoim przyjaciołom.

- I co się wtedy stanie?

- Chcieli podpalić sklep z olejami przy Grosvenor Square, żeby zebrały się przy nim tłumy.

- Naprawdę tak powiedzieli? W jakim celu chcieli to zrobić?

- Pan Thistlewood powiedział, że pożar przyciągnie olbrzymie tłumy, które oszaleją na widok szczątków pomordowanych członków gabinetu. Wtedy łatwo opanują koszary w Hyde Parku.

- Nigdy nie słyszałem o tak pokretnym planie! - wykrzyknął markiz.

- To nie wszystko. Thistlewood powiedział, że jeśli zbiorą się setki ludzi, to zdobędą Bank Anglii, więzienie w Tower i wypuszczą na wolność więźniów z Newgate Prison!

- To nieprawdopodobne! - - wykrzyknął markiz. - Naprawdę sądzisz, że twój stryj zdaje sobie z tego sprawę?

- Pan Thistlewood mówił o nim z wielką dumą - odparła Cara. - Jestem pewna, że to stryj Lionel zapewnił ich, że utworzy rząd tymczasowy i ogłosi to na stopniach domu burmistrza Londynu.

Markiz pamiętał doskonale przechwałki hrabiego, który mówił, że jest na jego łasce. Teraz szale się odwróciły; miał hrabiego w ręku. Ten zdrajca będzie wisiał, pomyślał. Nie powiedział jednak tego głośno.

- O czym jeszcze mówili? - spytał.

- Przeliczyli pistolety, piki i granaty. Pan Thistlewood kazał im to wszystko zabrać, zanim ukryją się na Grosvenor Square. Powiedział również, że stryj Lionel dał dużo pieniędzy, żeby kupić jeszcze więcej broni, a zwłaszcza więcej pistoletów.

Markiz był przekonany, że hrabia liczył na to, iż wdzięczność spiskowców zapewni mu wysoką pozycję w nowym rządzie i że będzie mógł zarobić na tej rewolucji dużo pieniędzy.

- I co się stało dalej?

- Wszyscy złożyli przysięgę na wierność panu Thistlewoodowi i przyrzekli, że pójdą za nim wszędzie. Przyrzekli, że kiedy zabiją członków rządu, uczynią go gubernatorem kraju.

Markiz nie mógł uwierzyć, że to może być prawda. Nawet jeśli spiskowcy nie zdołają zrealizować wszystkich swoich planów, na pewno wyrządzą wiele szkody. Grupa dwudziestu czterech osób z pewnością mogłaby zamordować wszystkich obecnych na jutrzejszym przyjęciu u lorda Harrowby'ego.

- Jesteś wspaniała i bardzo dzielna, moja droga - powiedział delikatnym głosem. - Odkryłaś spisek! Wiem, jak bardzo będzie ci wdzięczny premier, a zwłaszcza lord

Harrowby, kiedy oni wszyscy zostaną jutro aresztowani. Nie mogę jednak pozwolić, żebyś została w to zamieszana.

Cara spojrzała na niego zdziwiona.

- Powstałyby niepożądane plotki, gdyby ludzie dowiedzieli się, że moja żona, markiza Broome, rozmawia z podsłuchującym swego pana służącym, na dodatek przebiera się za chłopca i podsłuchuje rozmowy zbrodniarzy i rewolucjonistów.

- Rozumiem.

- Dlatego tylko premierowi powiem, w jaki sposób zdobyłem te wiadomości, które przekażę mu jutro rano.

- Ważne jest tylko to, by nie groziło ci żadne niebezpieczeństwo - powiedziała Cara. - Nie chcę rozmawiać, ani nawet myśleć o tym. Słyszałam wyraźnie, jak mówili, że musisz zginąć. Czułam się tak, jakby mi ktoś wbijał sztylet w serce.

- Teraz rozumiesz, co czułem wtedy, kiedy czekałem na zewnątrz. Bałem się, że w każdej chwili ci ludzie mogą cię znaleźć i torturować.

Cara krzyknęła przerażoną.

- Teraz jesteś już całkiem bezpieczna. I nigdy, przenigdy nie pozwolę ci brać udziału w niczym, co może być dla ciebie niebezpieczne.

- Wcale nie chcę robić czegoś takiego - odparła Cara - bo cię kocham. Chcę robić tylko to, co tobie sprawi przyjemność i czego ode mnie oczekujesz.

Markiz spojrzał na nią bardzo czule. Nigdy nie patrzył tak na żadną kobietę.

- Kocham cię taką, jaka jesteś - powiedział. - To dziwne, ale to prawda.

- Ja też cię kocham. Kiedy powiedziałam, że nienawidzę mężczyzn i boję się ich, skąd mogłam wiedzieć, że będę cię kochać? Teraz całe moje ciało jest przepełnione miłością..

Chcę, żebyś mnie całował i kochał mnie tak długo, dopóki... nie zapomnę o wszystkim i będę myślała tylko... o tobie.

Jej słowa, przepełnione wielkim uczuciem i pożądaniem, którego nigdy jeszcze nie słyszał w jej głosie, zapaliły ogień w oczach markiza.

Wiedział już, że jej nienawiść do mężczyzn była wynikiem traktowania jej przez stryja Lionela. Była po prostu samotna i bezradna w przerażającym ją świecie. Ponieważ jednak odznaczała się silnym charakterem i siłą ducha, otaczające ją zło nie zdołało jej złamać. Walczyła, zdecydowana przetrwać. Postanowiła zostać sobą. Nawet wtedy, kiedy odwzajemniała nienawiść nienawiścią, tęskniła do prawdziwej miłości.

Markiz czuł narastającą falę uczucia i odwrócił ku sobie twarz żony.

- Co zrobiłaś, kochanie, że tak cię kocham? Co ja zrobiłem, żeby zasłużyć na miłość tak doskonałej i cudownej istoty?

- Naprawdę tak myślisz? Chcę, żebyś mnie uwielbiał, mimo że nie wiem, co to znaczy być... kochaną. Jestem taka szczęśliwa; wydaje mi się, że mnie niesiesz... aż do nieba i że dotykam... gwiazd. Słyszę wokół cudowną muzykę. Nie ma tu miejsca na... brzydotę i... okrucieństwo.

Kiedy wymawiała ostatnie słowa, wstrząsnęły nią dreszcze. Markiz pomyślał sobie natychmiast o jej okrutnym stryju i o tym, jak ją traktował i bił.

- Zapomnij o nim - powiedział łagodnie. - On jest już skończony. Jutro wieczorem znajdzie się w więzieniu w Tower. Jeśli nie popełni samobójstwa, będzie sądzony przez parów i na pewno otrzyma karę śmierci!

Markiz był pewny, że kiedy hrabia dowie się o odkryciu spisku i aresztowaniu buntowników, popełni samobójstwo. Nie było żadnej możliwości, żeby wyplątał się z tej afery.

Thistlewood na pewno go zdradzi, a i pomiędzy jego służbą, nie wspominając już o spiskowcach, jest wielu świadków jego winy.

Zwykle markiz odczuwał satysfakcję z pokonania przeciwnika, ale teraz myślał przede wszystkim o swojej żonie i o tym, że Cara stopniowo zapomni o grozie, którą hrabia wniósł do jej życia. Chroniona ich miłością na pewno o wszystkim zapomni. Ich dni wypełni tylko radość bycia z sobą.

Jak gdyby domyślała się, o czym markiz myśli, Cara szepnęła:

- Kocham cię! Nie wiem, jak mogę cię... przekonać, jak bardzo cię kocham... i że... tylko ty się liczysz.

- Chciałem, żebyś mi to powiedziała - rzekł markiz - i powtarzała te słowa tysiące razy.

Odwrócił się na łóżku, chcąc ją wyraźniej widzieć. Spoglądały na niego oczy błyszczące szczęściem. Nigdy jeszcze nie widział takiej pięknej kobiety.

Ciepło i miękkość jej ciała, palce dotykające jego rękę jakby w obawie, że może go stracić, sprawiały, że markiz czuł narastającą falę ognia.

Postanowił, że będzie bardzo delikatny, ponieważ Cara była tak drogocenna. Postanowił, że będzie budził w niej miłość, która szalała w nim, bardzo wolno i łagodnie, by reagowała na nią jak kwiat stopniowo rozchylający co dzień swoje płatki.

Markiz był bardzo doświadczonego kochankiem. Już zdołał obudzić w niej uczucia, które, jak to Cara sama powiedziała, unosiły ją do nieba. Wiedział jednak, że to dopiero początek tej ekstazy, która powstanie w nich i codziennie będzie stawać się potężniejsza.

Rozumiał już, że nigdy podczas swoich niezliczonych afer miłosnych nie uczył miłości tak młodej i wspaniałej kobiety.

Właśnie to stanowiło najbardziej ekscytujące doświadczenie jego życia.

Kiedy spoglądał na żonę, wiedział, że te wszystkie kobiety, które przewinęły się przez jego życie i próbowały nim zawładnąć, stanowiły tylko cień tej wspaniałej rzeczywistości, która otworzyła się przed nim. Wszystkie zniknęły jak blade duchy. Nigdy już o nich sobie nie przypomni.

Jego przeczucie mówiło mu, że znalazł prawdziwą miłość, której szuka każdy mężczyzna.

Pomyślał, że Cara, ze swoją odwagą i uporem, swoją młodością i osobowością, stanowiła uzupełnienie jego własnej osobowości. Wiedział, że zawsze szukał takiej kobiety.

Nie tylko czuł rosnące w nim pożądanie, ale także dziwną wdzięczność dla losu, który otworzył przed nim tak wspaniałe Eldorado, marzenie wszystkich mężczyzn.

Cara zdziwiła się przeciągającym się milczeniem i sposobem, w jaki na nią spoglądał.

- Czy... myślisz o... mnie? - spytała.

- Myślę tylko o tobie, moja droga. Wypełniasz mi oczy, serce, umysł i duszę ~ jeśli ją mam.

- Chciałam, byś mi to powiedział, ponieważ ja też... kocham cię w ten sposób. Czy powiesz mi, czego ode mnie oczekujesz? Nie chciałabym cię nigdy zawieść. Ponieważ cię kocham, chcę być doskonała, absolutnie doskonała. Jeśli mi nie pomożesz, to będzie strasznie trudne.

Markiz odetchnął głęboko.

- Musisz być po prostu sobą, kochanie. To bardzo łatwe.

Cara uśmiechnęła się. Markiz ujrzał pojawiające się na jej twarzy cudne dołeczki i błyski w oczach. Nie mógł im się oprzeć.

- Czy naprawdę zdobyłam tego dumnego markiza? - spytała Cara. - Myślałam, że to nieważne.

- Ja też tak myślałem - przyznał markiz. - Ale ja też cię zdobyłem i przyrzekam, nie uciekniesz ode mnie. Nigdy nie uciekniesz i nigdy, przenigdy cię nie utracę.

- Przekonaj mnie... o tym - szepnęła Cara. - Kochaj mnie, Ivo, i przekonaj mnie o tym, proszę. Chcę, żebyś... mnie kochał...

Mówiąc to przytuliła się mocno do męża. Markiz poczuł, że ogarnia go żar płynący z jej ciała.

Wziął ją mocno w ramiona. Czuł bicie jej serca. Wiedział, że stanowią już jedno. Ulatywali ku niebu, zostawiając na ziemi wszystko, co było złe, brzydkie i okrutne. Nic nie mogło już wyrządzić im krzywdy.